№ 9. Warszawa, dnia 14 (26) Lutego 1876 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Pamiętnik Warszawskiego Instytutu

GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH

z roku szkolnego 1874/5.

Żadna może instytucya w kraju naszym nie obudza tyle zajęcia pomiędzy publicznością, ile wspomniony zakład. Dziwić się temu nie można: źródło miłosierdzia nad biednymi, litość, spotęgowaną jest do wyższego nierównie stopnia jak zwykle przekonaniem, że ci nieszczęśliwi stanowią jakieś oddzielne, zupełnie wyłączne ogniwo w bratnim łańcuchu ludzkości. W istocie, być pozbawionym dwóch najgłówniejszych zmysłów wzroku i słuchu, staje się najokropniejszą męczarnią dla istoty myślącej, czującej, na obraz i podobieństwo Boga stworzonej. Ociemniali, pomimo swego kalectwa mogli zawsze przejmować zewnętrzne wrażenia, czerpać skarby nauki, kształcić rozum, zespolić swe pojęcia i myśli z ogólnym nastrojem ludzkości; głuchoniemi byli niezbyt dawno jeszcze niby wzgardzone parye, upośledzone wyrzutki społeczeństwa, którym cały świat przedstawiał się jako niepojęta zagadka, niezbadana tajemnica; a wpływ religji, owej największej, jedynej może pociechy w nieszczęściu, jako bezwiedny kierunek nie mający żadnego moralnego znaczenia. Wystawcie sobie człowieka w pełnym rozwoju sił fizycznych, który przez niemożność porozumienia się z bliźniemi stanowi odrębną, zupełnie zamkniętą w samej sobie istotę: jego myśli, wrażenia, pojęcia, tworzą chaos dziwny, niezrozumiały, jego szlachetne popędy, wahania się pomiędzy złem a dobrem, odbłyski wyobraźni, wszystko co czuje, czego pragnie, zostaje na wieki zasklepionem w cielesnej powłoce materyalnego bytu, przymusowego zezwierzęcenia i bezwarunkowej odrętwiałości. Widząc skutki nie zna ich przyczyn — patrzy na wszystko co go otacza nie mogąc pojąć czynników życia, zadaje sobie tysiące pytań a odpowiedzieć na nie nie umie. Zaprawdę podobny żywot stokroć razy gorszym jest od śmierci! Jakże więc wielką zasługę przyznać należy mężom którzy nieograniczoną miłością chrześcijańską powodowani, postanowili podnieść te godne litości istoty z niezasłużonego niczem nieszczęścia, udzielić im światła nauki, dać możność poznania swego Stwórcy, i rozpromienić aureolą wiary pogrążone w cieniach niepewności umysły. Imię założyciela wspomnionej instytucyi i zarazem pierwszego jej rektora Ks. Jakóba Falkowskiego który w r. 1817 staraniem i trudami swojemi dał możność upośledzonym od natury kalekom podźwignięcia się z dotychczasowego upadku, cały kraj nasz z chlubą i wdzięcznością wspomina. Następcy jego zawsze godnie odpowiadali wielkości swego zadania; przerzucając karty dziejów zakładu, mamy przed oczami niesłychane trudności z jakiemi ciągle walczyć musiano, dla pokonania z samej natury rzeczy wypływających przeszkód, a jednak pomimo tego szkoła rozwijała się stopniowo pod względem rozszerzenia koła działań, jakoteż dokonanych ulepszeń w danym zakresie. Od lat sześciu w drukarni miejscowej wychodzi Pamiętnik warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych mający na celu obznajmić publiczność tak z wewnętrznym ustrojem instytucyi, jakoteż ze środkami pedagogicznemi jakich przełożeni i nauczyciele używają dla religijnego i praktycznego wykształcenia swoich wychowańców.

Będąc obecnie wezwanym do skreślenia sprawozdania z pamiętnika roku zeszłego, przystępuję do rzeczy.

Rozpoczyna go dalszy ciąg historyi instytutu, od chwili usunięcia się z pełnionych dotychczas obowiązków styranego wiekiem i pracą czcigodnego ks. Falkowskiego (r. 1831) aż do czasu objęcia zarządu przez rektora ks. Józefa Szczygielskiego (r. 1837), to jest peryod zwierzchnictwa p. Wawrzyńca Wysockiego. Szczegóły podane treściwie i wyczerpująco przez p. Jana Papłońskiego, a poparte wypisami z urzędowych dokumentów, obznajmiają nas nietylko z bezprzestannym rozwojem instytucyi, ale i różnemi przejściami jakie brak sympatyi, a więcej może własna nieoględność stały się udziałem pełnego dobrych chęci, uczciwego i prawego, ale nie dosyć akuratnego w wypełnianiu administracyjnych czynności rektora. W przebiegu tych dziejów uderza nas przedewszystkiem ciągłe podtrzymywanie zasadniczej myśli założyciela. Pomimo zatargów i nieporozumień, nieodłącznego następstwa każdej sprawy ludzkiej — ono zawsze niby jasna gwiazda, kieruje krokami tych którzy podjęli owo wielkie zadanie.

Następuje szczegółowy opis systematycznego sposobu używanego przy wykładzie nauki religji i moralności dla głuchoniemych. Opis ten skreślony zbiorowo przez miejscowych nauczycieli, do najwyższego stopnia zaciekawić może czytelnika pragnącego poznać we wszystkich odcieniach owe nieznane, niemal cudowne środki za pomocą których światło nauki, możność samopoznania, zgłębienie nawet świętych tajemnic wiary, przedziera się w zaskorupiałe niemocą strasznego kalectwa umysły. Jest to że się tak wyrażę inny, nowy zupełnie świat, w którym najczystsze eteryczne niemal objawy, zmuszone są uzmysłowić się i przybrać kształty ziemskie, cielesne, dotykalne.

Instrukcya początkowa udowodniła z jaką trudnością trzeba się przedzierać do umysłu głuchoniemego, ażeby zaszczepić w nim wyobrażenie samego siebie, świata, i Stwórcy wszech-rzeczy. Osiągnięty skutek stanowi tylko jakby wyłom w twardej skale, ułatwiający za sobą torowanie dalszej drogi przez którą wprowadzano głuchoniemego na stanowisko człowieka, zanim położono kamień węgielny. Lecz pozostaje główna budowa którą jest pomieszczenie głuchoniemego w gronie chrześcijan, czyli uczynie-

nie tegoż wyznawcą i uczniem Chrystusowym, a to przez udzielenie mu nauki Zbawiciela i usposobienie do przyjmowania wszelkich łask Chrystusowych. Jeżeli wiarę uważać należy jako główny czynnik umoralnienia ludzkości, to ona dla nieszczęśliwych, pozbawionych bezpośrednio związku ze światem staje się wszystkiem. Bez dobroczynnego światła religji, umysły ich mogą tylko być olśnione pryzmatem nabytych wiadomości, nie zdołają jednak nigdy wniknąć w samą istotę bytu, ani też zrozumieć celu życia. O ile trudnem jest jednak uprzytomnienie zasadniczych pojęć o otaczających nas przedmiotach, przedstawienie przyczyn i skutków działania przyrody, wniknięcie w tajemnice bytu istot organicznych — o tyle trudniejszem bez porównania staje się stawienie przed umysłami tych, którzy z powodu kalectwa swego wszystko do zmysłowej redukują formy, najsubtelniejszych tajemnic naszej wiary. Czytając opis środków jakie są w użyciu dla dopięcia powyższego celu, nie wiemy zaprawdę co bardziej podziwiać czy misterne zastosowanie materyalnych czynników do rzeczy wyłącznie duchowych, czyli też siłę woli ludzkiej która szczytem poświęcenia się wytworzona, a potęgą chrześcijańskiego miłosierdzia wsparta, zdoła tak olbrzymiego dokonać dzieła.

Wzrok jedyną tu odgrywa rolę: mimiką i gestami opisuje się stworzenie świata, grzech pierworodny, potop, dzieje królestwa izraelskiego i judzkiego i t. d., ale gdy po narodzeniu Zbawiciela naszego, nikną stopniowo obrazy podpadające pod zmysły, ustępując miejsca wielkiem, niezachwianem, lecz czysto duchowem prawdom które wyjaśnić wypada, zadanie nauczycieli, zdaje się dla nieobznajmionych ze sposobami udzielania nauki, prawie niepodobnem do wykonania.

Głuchoniemi jak już wyżej powiedziałem, z samej natury swego nieszczęśliwego położenia, nie są w stanie pojąć moralnych czynników bez uplastycznienia ich widomie w formie materyalnej. Do uskutecznienia tego służy mowa migowa poparta rysunkiem, jakoteż przedstawieniem różnych dotykalnych przedmiotów. Podzielenie koła na cząstki i cząsteczki stanowi obraz roku złożonego z pór, miesięcy i dni, promienie wychodzące z miejsc oznaczonych na grzechy główne, okazują grzechy powszednie; łączenie się zepsutych potomków Kaima z cnotliwemi potomkami Seta wyrażonem jest krzyżowaniem się linji; kreski poziome lub pionowe przeprowadzone stosownie do wykładu, pomiędzy nakreślonemi na tablicy wyrazami wyobrażają źródła, z których wady jakoteż zalety duszy naszej powstają. Objaśnienie znowu troistości Boga w jednej osobie wykonywa się za pomocą sztucznie urządzonych zwierciadeł, w których jedna i ta sama postać odbija się kilkakrotnie: słowem w każdej najmniej nawet odpowiedniej do materyalnego zastosowania nauce, uplastycznienie zmysłowe staje się jedynym motorem do osiągnięcia moralnego celu.

Mowa migowa będąca najgłówniejszym środkiem służącym do wzajemnego porozumienia uczniów z ich przewodnikami, złożoną jest z różnych znaków których kombinacya tworzy słowa lub nawet czasami całe zdania. Obok liter, używane są dla skrócenia migowej mowy pewne gesta, oznaczające najczęściej powtarzane przy pacierzu lub katechizmie wyrazy. Niepodobną jest rzeczą wynaleść na każdy wyraz odpowiedniego znaku, albowiem liczba tychże musi być ograniczoną, połączenie więc ich zobopólne wypełnia wspomniany brak. I tak np. *Ślub* (przyrzeczenie uczynione Bogu), wyraża się przez połączenie znaku obietnicy i przysięgi, ze znakiem określającym przyszłość. *Służebnica*, przez znak kobiety i posłuszeństwa; *Rozwiązłość* przez znak wstydu i złego; *Własność* przez rzecz i zaimek *ja* (czyli: ta rzecz do mnie należy); *Krzywda* przez wyrażenie dokuczenia i straty i t. d.

W kursach wykładane są wszystkie wiadomości z nauki religji i moralności, niezbędne człowiekowi do szczęścia doczesnego i wiecznego. Lecz jakże to wielka odległość pomiędzy wiedzą a zastosowaniem jej do życia praktycznego! podobna jak pomiędzy uprawianą, zasianą rolą a zebranym z niej plonem. Na cóżby się przydały wszystkie trudy rolnika, gdyby w ostatku nie zebrał i nie zużytkował zboża ze swej roli? Również jaki byłby cel dla człowieka w pobieraniu wiadomości nawet na najświętszych zasadach religji opartych, jeśliby zdeptawszy je żadnych w dalszym ciągu życia nie odniósł korzyści! Nie jest przeto zamiarem instytucyi obznajmiać głuchoniemych z naukami na obszerną skalę, lecz po wzięte wiadomości choćby w szczupłym nawet zakresie, spożytkować korzystnie. Wszczepiwszy więc w ich dusze zasady wiary, należy zwrócić się do materyalnego czynnika życia—pracy. W skutku tego zastosowano w zakładzie naukę rzemiosł, które wychowańcy w miarę swojego uzdolnienia lub chęci obierają. Mamy tam warsztaty stolarskie, szewckie, introligatorskie, nawet miejscową drukarnię, a z tychże wychodzą należycie w obranym fachu ukształceni robotnicy, zdolni na równi z innemi członkami społeczeństwa dźwigać ciężar obowiązków człowieka; i tym sposobem wielkie dzieło, dzieło przeistoczenia nieudolnych kalek w istoty myślące, pojmujące swe obowiązki względem Boga i ludzi, dokonanem zostaje.

Po skreśleniu systematu nauczania zasad religji i moralności, następuje opis Uroczystego Obchodu setnej rocznicy urodzin ks. Jakóba Falkowskiego; wspomnienie o ś. p. Tomaszu Dziekońskim; życiorysy zasłużonych nauczycieli instytutu: Jakóba Wiewiórskiego, jakoteż Romualda Zientarskiego ozdobione wizerunkami tychże osób. Zakończa zaś sprawozdanie z obrotu funduszów *) i części wychowawczej obznajmiającej nas o liczbie nauczycieli, wychowańców i wychowanek, pomocach naukowych, planie całodziennych zatrudnień, programem wykładu nauk sztuk, rzemiosł, z wymienieniem uczniów i uczennic, którzy za odznaczającą się pilność, postęp w naukach i wzorowe sprawowanie się, otrzymali nagrody i pochwały.

Słowem w Pamiętniku Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych niepominięto niczego co tylko może mieć związek z przedstawieniem obecnego stanu zakładu, tak że my zdając niniejszem sprawozdanie z rzeczonego dzieła, sumiennie wyznać musimy iż książka ta staraniem zarządu instytutu wydana, a przez miejscowych zecerów głuchoniemych złożona i odbita, może zainteresować nie tylko osoby facbowe, ale wszystkich tych, którym nie jest obojętną niedola dotkniętych strasznem a niezasłużonem kalectwem bliźnich naszych.

Ludwik Niemojowski.

*) Z końcem r. 1875 było ogółem dochodu 47,858 rs. 17 k. Wydatków 46,973 rs. 95 k., a zatem remanent na rok 1876 wynosi rs. 874 k. 23. (*przyp. sprawozd.*)

Czego mi żal.

Żal ubiegłych lat młodości,
Młodzieńczego upojenia,
Straconej w przyszłość ufności,
I zwiędłych kwiatów marzenia.

Żal nadziei co błyszczała
Jak jutrzenka na mem niebie,
Blasku co źrenica miała
I pragnień szczęścia dla siebie.

Żal tej pory, w której życie
Uśmiechało się radośnie,
I bujania po błękicie
W uczuć czystych świeżej wiośnie.

Dziś zniknęły już marzenia,
Uleciały lube chwile,
A zostały mi wspomnienia,
Jako kwiatki na mogile.

Eliza R.

PANI LUIZA.

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA)

NOWELLA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Mówiła to z widoczną nieudaną szczerością. Słuchałem ją zdumiony.

— Łaskawa pani! rzekłem, jakże więc pojmować mam gniew jej, który kolega mój miał nieszczęście ściągnąć na siebie oświadczając, iż cyfra dochodów jej dosięgnąć nie może owym dwudziestu tysiącom....

— O! przerwała, to wcale co innego! Ja tyle mieć muszę, aby módz się utrzymać!

Szczególna to była loika! Później dopiero przekonałem się o tem z wielokrotnego doświadczenia, że prawne zawikłania z kobietami, bywają najczęściej mniejszem lub większem morzem, do wypicia mężom prawa dawanem. Podówczas jednak nie posiadałem jeszcze doświadczenia tego i uczułem się zdziwionym a bardziej jeszcze zakłopotanym.

— Cóż tedy rozkażesz mi pani uczynić? zapytałem. Do kogo lub gdzie udać się mam po nieodzownie mi potrzebne papiery, regestry, dokumenty?

W chwili gdy czyniłem to zapytanie, wzrok p. Luizy pobiegł ku stojącemu w rogu salonu, bardzo ozdobnemu zegarowi. Od kilku minut już rzucała ona na zegar ten przelotne i zaniepokojone nieco spojrzenia.

— Pardonnez moi de grâçe, Monsieur! odrzekła z roztargnionym uśmiechem, nic o tem wszystkiem nie wiem! Nic a nic! Może zechcesz pan zapytać pana L. w jaki sposób radził sobie, albo zgłosisz się do dzierżawcy Żmurowszczyzny, pana Łudzińskiego...

Uśmiech jej i mowa były pełne roztargnienia. Widocznem było że zaledwie dosłyszała pytanie moje i że odpowiadając na nie myślała zupełnie o czem innem. Ale wymówione przez p. Luizę nazwisko dzierżawcy uderzyło mię. Było mi ono dobrze znanem.

Więc to pan Łudziński jest dzierżawcą głównego z majątków pani? czy nie pan Władysław Łudziński? zapytałem.

— Oui... zdaje mi się że mu na imię Władysław.

Władysław Łudziński był szkolnym kolegą moim. Z przyjemnością pomyślałem, że spotkam się znowu z przyjacielem pierwszej młodości mojej, dla którego zachowałem na zawsze przyjazne wspomnienie i chciałem właśnie zapytać panią Luizę, na jakich warunkach dzierżawi on jej dobra, gdy rozmowa na-

sza przerwaną została odzywającym się za plecami memi stłumionym i niezmiernie uniżonym głosikiem kobiecym.

— Upadam do nóżek pani hrabiny!

Obejrzałem się i zobaczyłem wchodzącą do saloniku pannę Zuzannę Krzaczkowską, którą znało dobrze całe miasto, której zatem i ja nie znać nie mogłem. Była to kobiecina malutka i szczuplutka, z wiecznie jak do pacierza, poniżej piersi splecionemi rękami i z nieznikającym ani na chwilę uniżonym uśmieszkiem, na żółtych wargach otoczonych rojami dziwnie przykro wyglądających zmarszczek. Słodziutka i pokorniutka osóbka ta miała jednak nadzwyczaj bystre, przenikliwe i błyszczące małe oczki czarne, któremi strzelała na prawo i lewo z niezmierną wprawą i niezmiernem zamiłowaniem w rzemiośle podpatrywania spraw i grzechów cudzych. Z czego panna Zuzanna żyła, i za co kupowała sobie bardzo czyste zwykle i wązkie czarne sukienki, płaszczyki z dziwacznemi pelerynkami i kapturki atłasowe, które zwyczajny i całemu miastu znany strój jej stanowiły—nie umiem doprawdy powiedzieć. Podobno, zajmowała się wyrabianiem siatek jakichś i haftów które roznosiła po domach, otrzymując w zamian tu trochę pieniędzy, owdzie obiad, gdzieindziej wieczerzą i t. d. W ogóle była to jedna z tych ptaszyn, które nic wcale albo bardzo niewiele orząc i siejąc, jadają przecież i piją do syta. Ptaszyn podobnych zresztą pełno jest w społeczeństwie naszem, a im która żwawiej i ostrzej szczebiocze, tem hojniejsze dary sypią się w dość żarłoczne zwyczajnie jej gardziołko.

Cokolwiek bądź, obecność ubogiej kobieciny tej znanej ze złośliwego plotkarstwa i uniżonego pochlebstwa, w domu tak wytwornym i wysoko w hierarchji społecznej postawionym, jakim był dom p. Luizy, zdziwiła mię trochę. Zdziwienie to moje tembardziej było usprawiedliwionem, że panna Zuzanna weszła do saloniku w sposób nadzwyczaj poufały, przez drzwi z wnętrza domu, więc zapewne przez garderobę i sypialnią wiodące, a p. Luiza poufałość tę przyjęła, jako rzecz bardzo zwyczajną i z wdzięcznym uśmiechem skłaniając głowę ku przybyłej, wskazała jej ręką krzesło, nieco opodal od kanapy, na której siedziała sama, stojące.

— Proszę siadać kochana panno Zuzanno, rzekła, proszę siadać, musisz być pani bardzo zmęczoną... pogoda tak jest brzydką.

— Pokornie dziękuję pani hrabinie dobrodziejce! pokornie dziękuję! kłaniała się i uśmiechała pokorna kobiecina. Już to prawda, że dzisiejszy dzionecz k nam niedopisał, a ja nawet wczoraj w wieczór modliłam się na tę intencyą, aby Pan Bóg obdarzył nas dziś słoneczkiem, bo wiem, że pani hrabina tęskni zawsze za słoneczkiem, i że zdroweczko p. hrabiny cierpi bardzo na tem, kiedy chmurki niebo pokryją i światek zrobi się taki ciemny, że choć płacz ze smutku!

— W istocie, zwróciła się do mnie p. Luiza, dziwnie drażliwą jestem na wszelkie zmiany pogody. Widok słońca i pogodnego nieba rozwesela mię, dni zaś chmurne i dżdżyste wprawiają w smutek lub w stan nieprzezwyciężonej apatyi. Zdaje mi się, że jestem arfą, na której strunach brzmią z kolei wszystkie tony zewnętrznej natury. Dla tego też klimat tutejszy tak ostry i zmienny, blade lub chmurne niebo tutejsze działają na mnie dziwnie, boleśnie i rozstrajająco...

— Pan Bóg łaskawy pozwoli pewno, że dla pani hrabiny wkrótce zaświeci znowu ciepłe słoneczko francuzkie. Pani hrabina uleci od nas, uleci jak ta ptaszyna złota, a my tylko już chyba oczy sobie wypłaczemy po naszej opiekunce i dobrodziejce!

— Kochana panno Zuzanno! wymówiła p. Luiza spojrzeniem i uśmiechem pełnym serdecznego uczucia, dziękując pokornej babinie, która jękliwym tonem słowa swe wymówiwszy przesunęła szybko chustkę po oczach niby dla szybkiego i niewidzialnego otarcia łez roszących jej oczy.

— Tak, zwracając się do mnie, rzekła gospodyni domu, kiedy mówiłam panu przed chwilą, że nie mam tu nikogo ktoby mi był przyjaznym i szczerze oddanym — myliłam się. Zapomniałam o kilku duszach które przywiązały się do mnie prawdziwie i gorąco, które są mi wdzięczne bez granic za jakąś odrobinę dobrego ode mnie otrzymaną. Ale, dodała po francuzku, są to dusze takie oto jak tej kobiety którą pan widzisz... dusze proste i skołatane niedolą...

Mówiąc to, czuła się widocznie rozrzewnioną. Nie mogłem mylić się. Była dość naiwną aby pokorne ukłony, słodkawe uśmieszki i jękliwym tonem wypowiadane pochlebstwa panny Zuzanny, przyjmować za czyste złoto gorących uczuć przywiązania i wdzięczności.

Przerwa zresztą którą w rozmowie naszej sprawiło wejście pokornej a gadatliwej kobieciny, zdawała się przybywać dla p. Luizy nadzwyczaj w porę. Kilkadziesiąt wyrazów któreśmy zamienili pomiędzy sobą o interesach majątkowych i pieniężnych, zmęczyły ją, znękały nieledwie. Pod wpływem znękania tego rysy jej sztywnieć już zaczynały a na czole i w koło oczów gromadziły się zmarszczki, których wprzódy nie spostrzegłem. Zniknęły też one jakby za dotknięciem czarnoksięzkiej rószczki pod różową falą rumieńca, który nagle opłynął twarz i szyję p. Luizy, od grubych splotów pięknych ciemnych włosów, aż po puszyste zwoje białych koronek okalających u góry aksamitną jej suknię. Domyśliłem się odrazu, dla czego wprzódy spoglądała tak często na zegar. Oczekiwała gościa, którym był wchodzący w tej chwili do saloniku syn księcia Andrzeja, młodziutki książę Jan X.

Książę Jan był tak młodziutkim, że wśród domowych i przyjaciół a nawet wśród szerszej nieco publiczności, nie nazywano go inaczej jak księciem Jasiem. Miał rok 21-szy, wysmukłe i doskonale harmonijne kształty Antinousa, twarz o rysach prześlicznych i ciemnej południowej cerze, śród której łagodnym ogniem paliły się duże czarne oczy i purpurą korali rozkwitały pełne, drobniuchnym zaledwie czarnym wąsikiem ocienione, młodzieńczo świeże usta. Oprócz tej niepospolicie pięknej powierzchowności, książę Jaś miał bardzo dobre serce, niezmiernie łagodny, potulny charakter i temperament, wbrew południowej cerze twarzy, więcej flegmatyczny niż żywy. Była to zresztą indywidualność bardzo mało wybitna, nie w pełni jeszcze rozwinięta, z wolą osłabioną nieco despotyzmem ojcowskim starego księcia, z umysłem z natury już dość słabym, ku poezyi i miękkim, melancholijnym marzeniom zwracającym się przeważnie.

Pani Luiza powstała z kanapy z żywością poruszeń niemal dziewczęcą i wyciągnęła rękę ku młodziutkiemu książątku, które złożyło na niej pocałunek pełen, jak mi się zdawało, synowskiego uszanowania. Najpiękniejszy uśmiech rozkwitał na bladawych jej wargach, oczy błyszczały żywo i rzewnie zarazem, twarz jej cała z której nie zniknął całkiem płomienny przedtem, a teraz blado różowy już tylko rumieniec, przybrała przez te kilka sekund pozór o lat dziesięć przynajmniej młodszy. Książę Jaś, w kilku ścicha wyrzeczonych słowach, oświadczył pani Luizie uprzejme pozdrowienia od księcia ojca swego, poczem przywitał się ze mną w zwykły sobie bardzo serdeczny sposób.

Od wejścia księcia Jasia rozmowa toczyć się zaczęła po francuzku. Jakkolwiek uważałem zawsze zwyczaj używania obcego języka w codziennych stosunkach i rozmowach za bardziej jeszcze śmieszny jak grzeszny, nie miałem tym razem nic innego do wyboru jak popełniać śmieszność tę wraz z gospodynią domu w którym gościłem, lub dopuścić się względem niej niegrzeczności. Wybrałem naturalnie pierwsze. Mówić zacząłem po francuzku. Pani Luiza z zachwyceniem widocznem słuchała żartobliwego opowiadania mego o dzieciństwie księcia Jasia, które pamiętałem z dawnych jeszcze czasów, gdy rodzice moi sąsiadowali na wsi z księstwem X. Powstała potem i lekko, wdzięcznie przeszedłszy salon, przyniosła nam wielką, kosztownie oprawną księgę którą jak mówiła, dziś właśnie otrzymała z zagranicy. Był to poemat jakiś przez Dorego illustrowany. Pani Luiza przerzucała karty księgi i ukazywała nam z kolei illustracye, które wydawały się jej najbardziej godnemi uwagi. Dało jej to sposobność do czynienia różnych uwag tak o treści poematu, jak o szczególnych cechach odznaczających olbrzymi talent rysownika, który go illustrował. Mówiła o rzeczach tych z wielką łatwością i nieporównanym wdziękiem słowa. Znać było, że posiadała wysokie bardzo ukształcenie w rzeczach artystycznych i niemniejsze do nich zamiłowanie. Książę Jaś który także uwielbiał poezyą i w ogóle sztuki piękne, potwierdzał najczęściej zdania pani Luizy a ożywiając się stopniowo, z uniesieniem mówić począł o różnych arcy-mistrzach i arcydziełach pędzla i ołówka. Wspomniał o Gavarnim.

— Gavarni! podchwyciła p. Luiza, oceniam go wedle wartości ale kochać i uwielbiać jak Dore'go nie mogę. Gavarni jest realistą, brak mu wzniosłego poczucia ideału. Stare żebraczki jego zachwycają mię mistrzowstwem rysunku i charakterystyki, ale gdy długo na nie patrzę, zdaje mi się że czuję obok siebie nieprzyjemny zapach łachmanów.

— A jednak, zarzucił nieśmiało książę Jaś, w żebraczkach Gavarniego dopatrują niektórzy bardzo wiele głęboko pojętych dramatów.

— Przekładam idylle nad dramaty, odparła z lekkim uśmiechem p. Luiza, każdy z nas żyjących na smutnym tym świecie, we własnej piersi nosić musi mniej lub więcej głęboki dramat swego życia. Przyjemnie więc nam być musi, gdy pod przewodnictwem sztuki wznieść się możemy w idealne sfery kryształowo czystych uczuć i niezmąconego szczęścia. Dla tego też, dodała, wolę o wiele Niebo Danta nad jego piekło. Owe tłumy ciał nagich wijących się w niewymownych męczarniach na dnie otchłani piekielnych, przejmują mię grozą i dziwnie bolesnem politowaniem. Mogę nawet powiedzieć, że widok ich wiedzie mię do grzechu zwątpienia. Mimowoli bowiem zapytuję siebie: czy podobna aby Bóg nieskończonego miłosierdzia rzucał milijardy stworzeń swych w te miejsca cierpień bez miary ni końca. Ale gdy idąc za myślą poety, tak mistrzowsko uwydatnioną ołówkiem rysownika patrzę na Beatrycze spotykającą Danta u wrót niebieskich, lub wyobraźnią stąpam po śladach Ś-tej Matyldy wiodącej za rękę wieszcza ku najwyższemu Empireum, wtedy z pamięci i oczu moich znikają wszelkie nędze i szpetoty świata tego, wtedy czuję jak dziwna pociecha jakaś wstępuje w me serce, wtedy najmocniej i wszystkiemi siłami istoty mej wierzę i ufam...

Mówiła to z głębokiem przejęciem się, z zapałem naprzód, potem z niewymowną rzewnością, która wilgotnem wzruszeniem oszkliła błyszczące, prześliczne w tej chwili jej oczy. Mówiąc patrzała na księcia Jasia a gdy wspominała o Beatryczy spotykającej u wrót nieba włoskiego wieszcza i o tej niewymownie błogiej ufności, którą obraz ten przepełniał jej serce, nie wiem dla czego wydało mi się, iż ufność ta nie ściągała się ku czemu innemu, jak tylko ku dalekiej

jakiejś, nieznanej, zaziemskiej przyszłości, śród której danem będzie jej samej odegrać rolę Beatryczy otwierającej niebo przed — księciem Jasiem.

(d. c. n.)

Po to szczupak pływa w wodzie
By karaś nie drzemał w chłodzie,

albo:

KONCESSYE

KOMEDYA W IV AKTACH

przez

K. Staniukowicza,

spolszczona z rossyjskiego przez **A. W. G.**

(Dokończenie).

SCENA X.

Ciż sami i Agata.

Agata. Gdzie pani każe zapakować futro?.. panie Czerepnin!.. jakżeś pan wyrósł, co za broda!..

Czerepnin (*wita się*). Jak się macie Agato, jeżeli się nie mylę?..

Agata. Tak... tak... masz pan pamięć zawsze doskonałą... Proszę pani, gdzie mam futro zapakować?

Lida. Nie potrzeba, Agato, już nie pojadę.... Żegnam pana, panie Czerepnin... nie spodziewałam się... ażebyś pan... ale cóż począć?... (*wychodzi*).

Agata. Biedna, moja kochanka, jaka ona pognębiona... (*wychodzi*).

SCENA XI.

Czerepnin sam.

Nie spodziewała się!.. tak!... gdybym z gracyą dowodził jej przyjemności zajęcia się tłomaczeniami, toby się jej spodobało, byłaby wesołą. Gdybym w dodatku zrobił wyznanie, że ją kocham... utworzyłby się prawdziwy romans... tymczasem zawiodła się, lepiej niechaj wie całą prawdę... niech się uzbraja w siłę potrzebną i odwagę, ażeby nie zabrakło ich, gdy zmuszoną będzie uciekać z tego istnego piekła!.. Wtenczas nędzne położenie robotnicy, wydawać się jej będzie rajem... Taki stan nienormalny najbardziej trapi prowincyę... ale jest to dobrym znakiem... dzieci nasze może Bóg da, nie będą tego doświadczać...

SCENA XII.

Awakumów sam.

(*Sam wchodzi z prawej strony*). Wszystko stracone!.. co za wstyd!.. w całem mieście... wszędzie rozniesie się!... Na kolana padli przed księciem!... co za niegodziwi! Czy nie mogli poczekać jednego dnia? Wszystko składało się jak najlepiej... teraz kredyt zachwiany... zaczną roztrząsać... rozsiewać... Przeklęty proces!...

SCENA XIII.

Awakumów i Nikanor.

Awakumów. Czego chcesz?

Nikanor. Chciałem panu przedstawić....

Awakumów. No, powiedz...

Nikanor. Jakkolwiek to nie moja rzecz...

Awakumów. Dla czego?

Nikanor (*po cichu*). Pani wybiera się...

Awakumów. Dokąd?

Nikanor. Wyjechać!..

Awakumów (*z trwogą*). Co? coś ty powiedział?.. To nie prawda (*porywa go za kolnierz*) mówże!..

Nikanor. Ja nic nie wiem... słyszałem tylko, że ma jechać do Petersburga, przychodził adwokat..

Awakumów. Czerepnin? Tak jest... to on niezawodnie... brunet... spotkałem się z nim...

Nikanor. Ten sam!..

Awakumów. Dla czegoś go wpuszczał? Mówisz, że się wybiera jechać?.. Czy nie zmyślasz?..

SCENA XIV.

Ciż sami i Wasilków.

Wasilków. Bądźcie cicho. Lida jest cierpiącą!.. jak się masz Aleksy!..

Awakumów (*przybiega do Wasilkowa*). Czy to prawda?

Wasilków. Co takiego?

Awakumów (*do Nikanora*). Odejdź! (*Nikanor odchodzi*)—że Lida chce wyjechać?...

Wasilków. Nie!.. chciała, uniosła się!...

Awakumów. Wyjechać?.. dokąd... w jakim celu... sama... ach Lido! Lido!..

Wasilków. Wybacz mi pan, że chociaż jestem hulaką... jednakże, jako ojciec, śmiem spytać się, co pomiędzy wami zaszło?

Awakumów. Wczorajszego dnia przyczepiła się do mnie, ażebym wypłacił robotnikom należytość, która im się nie należy... kto ją zrozumie, co jej na tem zależy?

Wasilków (*ruszając głową*). Jednakowoż biedna płakała, zapakowała swoje rzeczy....

Awakumów. Czy doprawdy?.. Ach Lido!.. coś zamierzyła zrobić?.. Ja bez niej żyć nie mogę...

Wasilków. Kochasz ją więc?... jakże jej nie kochać... takie serce złote?...

Awakumów (*uśmiecha się*). Tylko główka jest zajętą jakiemiś niepraktycznemi marzeniami. Przyjechał jej dawny znajomy... Czerepnin...

Wasilków. I pan przypuszczasz... że ona...

Awakumów. Cóż?

Wasilków. Łatwo domyślić się, że się w nim zakochała.

Awakumów (*przestraszony*). Czy to ona panu wyznała, powiedz...

Wasilków. Jaki zazdrośnik! Już się lęka...' wcale nie!.. Gdybym był na jej miejscu, drażniłbym cię, ażebyś bardziej jeszcze kochał. Wy panowie mężowie tegocześni, zawsze jesteście zajęci interesami, o żonach nie myślicie wcale... á propos... mam projekt...

Awakumów. Później... później... pójdziemy do niej. Czy długi czas przepędził z nią adwokat Czerepnin?

Wasilków (*śmieje się*). Wcale nie długo... mój ty Otello!..

Awakumów. Czy Lida jest w swoim pokoju cierpiąca... ale, Czabanów mnie oczekuje... (*dzwoni*).

SCENA XV.

Ciż sami i Nikanor.

Awakumów. Pamiętaj, nikomu ani słowa!..

Nikanor. Dobrze panie...

Awakumów. Idź do gabinetu i powiedz Czabanowi, że zaraz przyjdę. Czy dawno już czeka?..

Nikanor. Będzie z pół godziny!.. (*Nikanor odchodzi do gabinetu — Awakumów i Wasilków idą do buduaru Lidy*).

SCENA XVI.

Czabanów i Nikanor.

Czabanów (*daje Nikanorowi datek, ten robi gest, jakby nie chciał przyjąć*). Mój kochany, od pieniędzy nigdy się nie wymawiaj... one zawsze są miłe... zawsze się przydadzą... Czem teraz jesteś?

Nikanor. Kamerdynerem.

Czabanów. Gdybyś naprzykład wygrał 200,000?.. to czembyś był?

(*Nikanor skacze z radości*).

Czabanów. Aż się oblizujesz! tak ci się spodobało?

Nikanor. Jabym, gdyby mi takie szczęście posłużyło, wziąłbym dostawę żwiru!..

Czabanów. Żwiru?... (*śmieje się*). Wiesz widzę na czem się dobrze zarabia... potem zachciałoby się robót ziemnych... później...

Nikanor (*zapala się*). Konsecyę jaką małą...

Czabanów. Koncesyę!.. (*śmieje się na głos*) przede wszystkiem naucz się wymawiać to słowo: „koncesya“. Nikanorze, pamiętaj dobrze i wymawiaj: „koncesya“ (*po cichu*). Cóż pan twój, czy w dobrym humorze?

Nikanor. Zły... awantura się zrobiła... powiadał mi o niej stangret..,

Czabanów. Awantura, jaka?

Nikanor. Przy zwiedzaniu robót, ludzie zanieśli prośbę do księcia...

Czabanów. Czy to tylko prawda? A więc skarżyli się?

Nikanor. Tak jest... niezawodnie... i pan przyjechał do domu zmieniony. W domu znowu...

Czabanów. Cóż, także?

Nikanor (*uśmiecha się*). Dosyć... że źle!..

Czabanów (*mruga oczami znacząco*). Czy adwokat jej się spodobał?..

Nikanor. Naszym obowiązkiem jest milczyć....

Czabanów. To dobrze... tak... tak... zachowaj milczenie Nikanorze (*śmieje się*) ale koncesyi chciałbyś?

Nikanor. Ma się rozumieć!.. (*odchodzi*).

SCENA XVII.

Czabanów sam.

Jaki łotr!.. wymówić dobrze nie potrafi, a jednakowoż rozumie znaczenie tego słowa magicznego... Teraz przecież, Awakumów jest związany jak należy... trzeba kuć żelazo, póki gorące... tak jest... (*śmieje się i siada*). I ten głupiec brał mnie na fundusz... mnie? Dla czego ja odrazu nie poznałem się na tym rozbójniku?.. Trzydzieści tysięcy żądał!.. poczekaj, popamiętasz ty jeszcze swoje głupstwo.

SCENA XVIII.

Awakumów i Czabanów.

Czabanów (*idzie na spotkanie Awakumowa*). Moje uszanowanie panu!...

Awakumów. Wybacz, żem tak długo dał na siebie czekać...

Czabanów. Nic nie szkodzi... taki malutki człowiek jak ja, może poczekać... ale ten proces przeklęty!..

Awakumów. Albo co?

Czabanów. Nic... chociaż wszystko znajduje się w porządku... jednak...

Awakumów. Ten proces ot gdzie mi już siedzi! (*pokazuje na gardło*).

Czabanów. Możeby sprobować... dać robotnikom tymczasem trzy tysiące. Pieniądze są im potrzebne.

Awakumów. Podług mnie, lepiej dać pokój wszystkiemu... nie probować nawet...

Czabanów. Ale adwokat z ich strony?...

Awakumów. Da pokój...

Czabanów. A gdyby go usunąć?

Awakumów (*szybko*). Czerepnina? to byłoby wybornem... przyjechał tutaj, dyabeł wie po co!..

Czabanów. I ludziom głowy zawraca.

Awakumów. Jakżeby to zrobić?.. Gdyby chociaż prędzej skończył się proces, toby odjechał sobie....

Czabanów. Powiedział, że będzie czekać... (*pomyślawszy*) ale by można było...

Awakumów. Jakim sposobem?

Czabanów. Masz pan stosunki... gdyby napisać do Rogalskiego...

Awakumów. Napisać, ale co?

Czabanów. Tak... ogółowo... (*śmieje się*) ażeby uwolnił nasze miasto od jego obecności...

Awakumów. Jaki powód przytoczyć?..

Czabanów. Ha, ha, ha! W tem pan znajdujesz trudność!... (*patrzy na Awakumowa*). Napisz pan, że podmawia... nie uznaje prawa własności...

Awakumów. Co znowu? byłaby to denuncyacya?

Czabanów. Co za denuncyacya, zkąd pan wziąłeś takie wyrażenie?.. To szczególna!.. lepiej weź pan pióro i pisz...

Awakumów. Napisać? (*namyśla się*) przecież go tylko poproszą, ażeby wyjechał niezwłocznie...

Czabanów. Dzisiaj jeszcze, ani znaku po nim nie będzie... pojedzie sobie w towarzystwie...

Awakumów. Jednakże... z resztą!... (*wstaje z szybkością i wychodzi do gabinetu*).

SCENA XIX.

Czabanów sam.

Baba!... ty nigdy nie pójdziesz śladem swojego ojca!.. Tamten to był człowiek, jakich mało!...

SCENA XX.

Awakumów i Czabanów.

Awakumów. Napisałem!...

Czabanów. Zrobione po amerykańsku, bez straty czasu... teraz odeślij pan do Rogalskiego bez zwłoki...

Awakumów. Czy zaraz? (*po cichu*). Ach Lido, Lido! do czego mnie doprowadza twój nierozsądek!.. (*dzwoni, wchodzi Nikanor*).

SCENA XXI.

Ciż sami i Nikanor.

Awakumów. Odnieś natychmiast (*oddaje mu list*).

Nikanor. Dobrze panie!.. (*wychodzi*).

SCENA XXII.

Czabanów i Awakumów.

Czabanów. Teraz proces skończy się sposobem pojednawczym. Jutro zawołam robotników, pokażę pieniądze... pewnym jestem, że za trzy tysiące (*śmieje się*) sprawa będzie ubita. No, panie Awakumów, zrobiłeś pan krok stanowczy! Cóż linija, czy dostanie się panu?..

Awakumów (*porusza głową*). Kto wie jeszcze... te łotry skarżyli się dzisiaj przed księciem...

Czabanów. Niedobry interes!...

Awakumów. Jeżeli dla mnie niedobry, za to dla pana, przeciwnie!...

Czabanów. Wcale nie.. ale wiesz pan co mi przyszło do głowy?

Awakumów. Co takiego?

Czabanów. Pański projekt się nie powiódł, i ja go nie jestem pewnym... czyby nie lepiej było... gdybyśmy przystąpili do spółki...

Awakumów. Z panem?

Czabanów. Ma się rozumieć, może nam dwóm lepiej się powiedzie. Jeden rozum jest dobrym, ale dwa jeszcze lepsze... noga nogę wspiera, ręka rękę myje. Ja zjednałem sobie sekretarza przy księciu, pan masz za sobą baronowę... niezawodnie się nam powiedzie!.. Świetna rzecz byłoby otrzymać tę nieszczęśliwą koncesyę... Cóż to za cudowna spółka: Awakumów i Czabanów!.... Jakże panie Awakumów?

Awakumów. Rzecz nie do odrzucenia.

Czabanów. A zatem podajmy sobie ręce!..

Awakumów. Chętnie!...

Czabanów. Trzeba było tak dawno zrobić.... a sam pan chciałeś, to byłoby za wiele na jednego.... czy nie prawda panie Awakumów? (*z przestankiem*). Czy nie domyślasz się, że to ja wystroiłem tego figla z robotnikami?

Awakumów. Jakto, pan?..

Czabanów. Ja!.. pan się dziwisz? Albož Gałkin nie lubi pieniędzy?... To on przygotował tę niespodziankę!..

Awakumów. I po takim czynie... pan śmiesz.... czy to szlachetnie?...

Czabanów. Czy szlachetnie? (*śmieje się i z pogardą spogląda na Awakumowa*). A czy szlachetnie robotników oszukiwać i zamiast 30,000 dawać trzy?... Czy szlachetnem również tego rozbójnika z czarnemi kędziorami usuwać ztąd, czy to zaszczytnie?..

(*Awakumów zakrywa twarz rękami*).

Czabanów (*klepie go po ramieniu*). Jeszcze młodym pan jesteś, panie Awakumów... chcesz pan po wodzie chodzić... a boisz się zamoczyć... gdy dojdziesz mojego wieku... wtenczas zrozumiesz...

Awakumów. Co takiego?

Czabanów. Wyborne nasze przysłowie: „Na to szczupak pływa w wodzie, By karaś nie drzemał w chłodzie..." (*wychodzi powolnie, Awakumów siedzi podparty na ręku*).

SCENA XXIII.

Awakumów, Lida i Wasilków.

Lida (*zbliża się do męża i opiera się z lekką na jego ramieniu*). Coś się tak zamyślił? Czym cię zmartwiła? Przebacz... wytłomaczyłeś mi... i to dla mnie dostatecznem... ja... ja za głupia jestem, ażebym wasze interesa rozumiała... ja tylko... (*ze łzami*) tylko kochać potrafię... Wszakże zapłacisz, czy tak?..

Wasilków. Ach, mój ty skarbie najdroższy!... (*ściskają się*).

Korespondencya zagraniczna ze Lwowa.

(Dokończenie).

Straszna katastrofa nawiedziła w pierwszych dniach stycznia słynne kopalnie soli w Bochni pod Krakowem. Pożar podziemny wywołany nieprzezornością pozbawił kilkunastu ludzi życia i spowodował zamknięcie kopalni na dłuższy czas, co jest wyrokiem nędzy dla licznych rodzin utrzymujących się z zarobku górniczego. Pomiędzy ofiarami katastrofy bocheńskiej znajduje się osobistość, której śmierć poniesiona w skutek prawdziwie heroicznego pojmowania obowiązków, sprawiła bolesne wrażenie i głęboki żal w najszerszych kołach. Osobistością tą jest naczelny radca górnictwa krajowego ś. p. Edward Windakiewicz, postawiony zaledwie na dwa tygodnie przed gwałtownym zgonem na stanowisko wysokie i otwierające rozległe pole do wielkich zasług około dobrobytu krajowego. Ś. p. Edward Windakiewicz oddany był zawodowi górniczemu z zamiłowaniem tak gorącem, z gorliwością tak niepospolitą w dzisiejszych czasach, że po prostu w kraju nie ma kandydata, któryby zastąpić go mógł godnie na opróżnionej wysokiej posadzie. Ś. p. Edward Windakiewicz był także w swoim zawodzie prawdziwą znakomitością naukową, chociaż w kraju imię jego stało się głośnem dopiero od dwóch lat po wydaniu nakładem rządu wybornego dzieła o kopalniach nafty i wosku ziemnego w Galicyi. Dzieło to otworzyło nam oczy na niezmiernie ważną gałęź dobrobytu i gospodarstwa krajowego wykazując, jak olbrzymie, milijonowe straty ponosi Galicya przez to, że nieracyonalne prowadzi eksploatacye swoich nieprzebranych źródeł naftowych a tem samem otwiera przystęp produktom amerykańskim do środkowej Europy, gdzie produkta galicyjskie mogłyby mieć nieograniczone panowanie. Wspomniane dzieło ś. p. Windakiewicza, było tak przekonywającą przestrogą, że odtąd reforma stosunków przemysłu naftowego uznaną została za sprawę piekącą i weszła na drogę, która wróży krajowi znaczne korzyści. Zagranicą, gdzie ś. p. Windakiewicz długi czas zajmował piękne posady w przedsiębierstwach górniczych, mianowicie w Niemczech, imię jego jest zaszczytnie znane w kołach fachowych, z prac i korespondencyi umiejętnych, które zmarły chętnie zawiązywał i z właściwą sobie gorliwością utrzymywał. Strata takiego pożytecznego człowieka, zajmie jedno z pierwszych miejsc w nekrologji bieżącego roku.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy powstały we Lwowie dwie nowe księgarnie: pp. Władysława Zawadzkiego i Wł. Bełzy. Obie rozpoczęły swoje działalności wydawnictwami. Księgarnia p. Zawadzkiego wydaje pisma Dominika Magnuszewskiego, a księgarnia p. Bełzy drukuje kilka prac młodszych autorów. Wydawnictwo p. Zawadzkiego jest bardzo obiecujące, bo obejmuje kilka wcale nieznanych a jak zapewniają bardzo pięknych utworów wcześnie zmarłego poety, o którym krytyka dotąd jeszcze nie wypowiedziała stanowczego sądu, chociaż wysoki i sympatyczny talent jego nigdzie nie został na prawdę zakwestyonowany. Księgarnia p. Zawadzkiego stara się zdobyć sobie sympatyę publiczności nietylko tem wydawnictwem, lecz jeszcze innym wcale oryginalnym pomysłem. Ogłosiła bowiem, że urządza pierwszą w Galicyi obiegową czytelnię czasopism. Za niską, rocznie kilka guldenów wynoszącą prenumeratę, każdy może czytać regularnie kilkanaście francuzkich, niemieckich i polskich czasopism treści literackiej, naukowej, humorystycznej a nawet kilka pism fachowych. Powodzenie przedsiębierstwa, które zwróciło na siebie powszechną uwagę, zawisło od tego, czy kolporterowie księgarni i członkowie kółka czytelniczego, z równą punktualnością spełniać będą swoje powinności t. j. czy każdy czytelnik w czas otrzyma świeże i zwróci przeczytane numera czasopism. Wątpimy bowiem, ażeby księgarnia liczyła na ogromne koło czytelników i w skutek tego prowadziła przedsiębierstwo w wielkich rozmiarach, prenumerując po kilkanaście egzemplarzy każdego czasopisma.

Czytelnia obiegowa czasopism spotkała się zaraz na wstępie z bardzo surowym sądem w jednym z tutejszych dzienników. P. Zawadzkiemu zarzucono, że przedsiębierstwem swojem przysługuje się tym, którzy nie z braku funduszów, lecz ze skąpstwa i brzydkiego nałogu, starają się zaspakajać potrzeby umysłowe cudzym lub bardzo tanim kosztem. Liczba takich pasożytów jest rzeczywiście bardzo wielką we Lwowie i na prowincyi. Lubią oni czytać, czują nawet potrzebę tego, ale nie prenumerują żadnego pisma i korzystają z egzemplarzy cudzych. We Lwowie zaspakajają oni ciekawość swą egzemplarzami publicznemi po kawiarniach, cukierniach i restauracyach, co nie jest jeszcze nadużyciem, ale na prowincyi dzieje się to już po prostu cudzym kosztem. Pan poczt mistrz bowiem zazwyczaj nietylko dla własnej

ciekawości zatrzymuje prenumeratorom ich czasopisma na jeden lub kilka dni, lecz nadto nadużywa swojej władzy w ten sposób dla dobrych przyjaciół i miłych sąsiadów. Że takie nadużycia są niegodne i przynoszą wielki uszczerbek naszym wydawnictwom peryodycznym, tego nie można zaprzeczyć, ale krzywdę wyrządza panu Zawadzkiemu każdy, kto go obwinia, że swoją czytelnią obiegową zamyśla wyzyskiwać na własną korzyść brzydkie skąpstwo takich pasożytów. Czytelnia obiegowa bowiem założoną została głównie dla Lwowa, gdzie przecież każdy może czytać wszystkie czasopisma bez opłacania prenumeraty. Jeżeli ci kawiarniani czytelnicy zaczną korzystać z czytelni obiegowej, to p. Zawadzki wyświadczy nawet przysługę wydawnictwom. Niejeden uczestnik czytelni obiegowej zasmakuje w tem lub owem piśmie, zechce mieć własny egzemplarz i zdobędzie się na prenumeratę, którą długo uważał za wydatek najzbyteczniejszy pod słońcem. Samo uiszczanie pewnej opłaty za korzystanie z czytelni obiegowej, jest już pierwszym szczęśliwym krokiem do przełamania wstrętu, jakim wielu nawet inteligentnych mieszkańców stolicy naszej pała prawie namiętnie ku wszelkim wydatkom na pisma i książki. Zresztą choćby czytelnia obiegowa wspierała skąpstwo kilku lub kilkunastu pasożytów, to zawsze należy pamiętać, że za to kilkudziesięciu niezamożnym a chciwym wiedzy czytelnikom, dostarczy za małą opłatą pokarmu umysłowego, którego własnemi siłami i żadną miarą niezdołaliby uzyskać. Jesteśmy pewni, że jeżeliby jaki księgarz warszawski poszedł za przykładem p. Zawadzkiego, prasa miejscowa pewnie nie zniechęcałaby go na samym wstępie, a nawet w własnym interesie poleciłaby publiczności takie przedsiębierstwo.

Sam fakt powstania dwóch nowych księgarń obok pięciu dotąd istniejących, jest zjawiskiem zasługującem na uwagę. Przed kilku laty Lwów posiadał tylko dwie księgarnie, których właściciele bynajmniej nie zbijali majątków. Dziś liczba księgarń jest prawie cztery razy większą, a choć stare firmy mają taki sam dochód jak dawniej, młodym koleżankom wiedzie się wcale dobrze. Niektóre z nich, znane z wydawniczej i komisowej ruchliwości robią nawet świetne interesa. Jakżeż pogodzić ten fakt z nałogowem utyskiwaniem na zacofanie Galicyi, która wrzekomo nie chce ani kupować książek, ani prenumerować czasopism? Przecież sznurkami nie handluje żadna księgarnia, a książki kucharskie i gospodarskie nie stanowią głównej gałęzi interesu. Trzeba się uderzyć w piersi i przyznać do niesprawiedliwości. Galicya przestała dziś być dla literatury książkowej i peryodycznej tak jałowym gruntem jak przed laty dziesięciu, skoro żywi cztery razy większą liczbę księgarń, cztery razy większą liczbę drukarń i zapewne także cztery razy większą liczbę wydawnictw peryodycznych. Wziąwszy to wszystko na uwagę, wypada tylko życzyć autorom, wydawcom, księgarzom i drukarzom, wreszcie także i samej Galicyi, ażeby w przyszłem dziesięcioleciu zrobiła taki sam postęp jak i w poprzedniem. Ciągłe a niesłuszne utyskiwanie na zacofanie, nie przyczynia się bynajmniej do popierania tego postępu jeżeli go owszem nie utrudnia. *Dr. B. Ł.*

Przegląd literacki.

Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu, opowiedziane najmłodszemu bratu przez Maryę Gorecką. Warszawa. Nakładem redakcyi Kroniki Rodzinnej 1875.

Krótkie te notatki z życia swego wielkiego ojca p. Gorecka spisała dla brata Józefa, który w bardzo młodym wieku utraciwszy rodziców, nie mógł ich dobrze pamiętać. Bez pretensyi do odwzorowania ważnych wypadków i przewrotów w społeczeństwie i literaturze, autorka, idąc za biegiem własnych wspomnień od najwcześniejszego dzieciństwa do czasu śmierci Adama, po prostu, niewymuszenie opowiada rodzinne jedynie wspomnienia z okresu tych lat kilkunastu, nie wychodząc nigdy z tonu ani z zakresu siostrzanej pogadanki z bratem.

„Choć wiem—mówi p. Gorecka do brata—że nie będę mogła, tak jakbym chciała, tak jak trzeba, odmalować ci owych czasów, czuję że cokolwiek ci powiem o rodzicach, podwoić tylko może twoją cześć i miłość dla ich świętej pamięci. Ta myśl dodaje mi siły i odwagi do pracy, która wiele mnie kosztować będzie, bo wywołanie przeszłości odnawia w sercu mojem niezagojone rany i nieraz wyciska łzy tak gorzkie jak wówczas, kiedy poraz pierwszy uklękliśmy wokoło świeżej mogiły matki, a wkrótce i ojca, nad któremi teraz tyle lat już przeszło.“

Autorka dobrą miała zawsze pamięć: pierwsze jej wspomnienia sięgają czasów prawie niemowlęctwa. Najwcześniejsze z tych wspomnień są poświęcone Niemcewiczowi (nie wiemy dla czego autorka nazywa go tylko „staruszek N.“), który ją pieścił w dzieciństwie, nazywał swoją żoną, osypywał podarunkami i nawet na cześć jej pisywał wiersze. Niedługo to jednak trwało i wkrótce mała Marynia była obecną na pogrzebie staruszka na cmentarzu w Montmerency (Niemcewicz umarł 1841 r). Wspomina jeszcze autorka z tegoż okresu o Stefanie Witwickim i Ignacym Domejce, który wtedy wyjeżdżał do Chili, gdzie i do dziś dnia jeszcze pozostaje, jako rektor uniwersytetu.

Pierwsze wspomnienia autorki o ojcu ściągają się do jego dziwnej troskliwości i pieszczot, któremi osypywał swoją ulubienicę. Rzecz to uwagi godna, że ludzie wielcy i niepospolici rzadko bywają surowymi ojcami, lecz częstokroć nawet przebierają miarę w pieszczotach i dogadzaniu dzieciom, które ubóstwiają. Mickiewicz uczył swoją córkę chodzić, kładąc się na ziemi, gdy ta pełzać zaczynała, a że córka chciała (zwyczajem rozpieszczonych dzieci) żeby ojciec jej nigdy nie odstępował, wymykał się więc często ukradkiem od „swego tyrana“, jak ją nazywał, a czasem udawał że ją bierze z sobą i nosił po pokoju, póki nie usnęła.

Jaśniejsze już wspomnienia pozostawił w umyśle autorki pobyt w Lozannie w Szwajcaryi, gdzie Mickiewicz przez czas dość krótki był profesorem w 1830 r. (autorka nigdzie prawie dat nie podaje). Mieszkał w willi Beau-Séjour nad jeziorem, jednej z najpiękniejszych w Lozannie, zajmowanej niegdyś przez Napoleona I. Tu ojciec przechadzał się z córką po obszernym ogrodzie, co kilka kroków wysypując jej piasek z trzewiczków zbyt płytkich, studyując rośliny i mrowiska, tłomacząc córeczce obyczaje mrówek, lub uwalniając muchy z sieci pajęczych. Umiał jednak Mickiewicz i czasem karcić zarody złych popędów: raz np. gdy córeczka zanadto była dumną i pyszną z nowych trzewiczków tak że zaczynała gardzić towarzyszkami, które takich nie miały, ojciec skarcił ją surowo, a trzewiczki odebrał i innej dziewczynce darował.

Mickiewicz sam uczył czytać córkę, która lekcye z nim przekładała nad lekcye z matką: „był bowiem daleko pobłażliwszy—powiada autorka; łatwiej wierzył nadzwyczajnemu memu zmęczeniu przy tak ciężkiem i mozolnem zajęciu i nieraz namówić się dawał, żeby lekcyę zamienić na spacer. Z rzadką cierpliwością słuchał też najdziwniejszych pomysłów, których mu przy tej okazyi udzielałam i długo a obszernie tłomaczył upartej mojej głowie, że B. muszę koniecznie wymawiać B a nie inaczej; a litery S, której nie cierpiałam, nawet sam papa nie ma prawa wyrzucić z abecadła.“

Mickiewicz lubił pieśni ludowe, które mu żona śpiewała przy fortepianie; sam je też nucił i córkę wyuczył. Szczególnie lubił dwie piosenki: „Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój“ i „Idzie żołnierz borem, lasem“. Ta ostatnia doprowadzała do płaczu córkę, co raz zdarzyło się przy Bohdanie Zaleskim; Mickiewicz zwrócił wtedy jego uwagę na silny wpływ poezyi ludowej, lecz od tego czasu piosenki tej już nie śpiewał. Gdy czuł w sobie natchnienie i zabierał się do jakiej pracy, albo gotował się na prelekcyą prosił żony, ażeby mu te ludowe motywa przygrywała

Przeniesiony z Lozanny do Paryża na katedrę w Collège de France, Mickiewicz nie żałował ani Szwajcarów ani Szwajcaryi, gdzie mu było duszno dla braku ruchu umysłowego, gdyż Szwajcarowie wykowani, jak mawiał, z granitu skał alpejskich i przypominający to chłodem i ciężkością swoją, nadto nieruchome stanowili społeczeństwo dla wzniosłej i cierpiącej duszy. Materyalna pozycya Mickiewicza była w Lozannie świetna: Szwajcarowie ofiarowali mu płacę niemal przewyższającą ich środki byleby go tylko zatrzymać, ale Mickiewicz wolał wrócić do Paryża. Tu zaczął prowadzić życie ruchliwsze, przyjmował u siebie wiele osób, choć sam niechętnie bywał. Uczył córkę historyi, czytając z nią Plutarcha i śród najważniejszych zajęć nie zapominał swojej Misi: raz np. kupił dla niej wiewiórkę, idąc na prelekcyą, przetrzymał zwierzątko w rękawie, a potem w zanadrzu przez cały czas, gdy pozostawał na katedrze. Mieszkał Mickiewicz w Paryżu na rue d'Amsterdam N 1 a potem w Batignoles rue du boulevard N 14 i rue de la Santè N 42 W latach towianizmu i usunięcia Mickiewicza z katedry, posmutniało w ich domu, wkradły się niedostatek i nieszczęsna choroba Mickiewiczowej. Adam posiwiał i zestarzał się znacznie. Z tego okresu autorka przytacza mnóstwo drobiazgowych wspomnień rodzinnych. Mickiewicz dbał ciągle o to, ażeby mu choć cokolwiek przypominało Litwę, nietylko więc w domu ściśle przestrzegano takich zwyczajów jak święcone, wilja, kolenda i t. d. ale nadto Mickiewicz pielęgnował w swoim ogródku sosny, i jarzębiny i jeździł umyślnie do Fontenaibleau, ażeby zbierać tam litewskie rydze i borowiki. Słysząc jak dzieci z francuzkim akcentem mówią po polsku i w ogóle gorzej tym językiem niż po francuzku, smucił się i głośno wzdychał. Godną uwagi jest rzeczą, że Mickiewicz nigdy o swoich utworach nie wspominał i dzieciom ich czytać nie dawał, z wyjątkiem Pana Tadeusza: z tego nawet ustępy kazał uczyć się na pamięć.

Wybitne miejsce we wspomnieniach autorki zajmuje Henryk Służalski, przyjaciel Mickiewicza, który mu później towarzyszył do Turcyi i był świadkiem ostatnich chwil wieszcza. Typowa to była postać jeden z ostatnich okazów dawnej szlachty, z głową wygoloną i wąsami dającemi się zakręcić za uszami, barczysty i herkulesowej siły, przydatny jak to mówiono i do tańca i do różańca, niezmordowany opowiadacz anegdot i dykteryjek i poradnik domowy przyjaciół, umiejący i dzieci zabawić i znaleść radę na wszelkie trudności i kłopoty. Kiedy Francuzi podziwiali jego olbrzymią postawę i siłę, dla podtrzymania humoru narodowego zwykł był skromnie odpowiadać: „ja w swoim kraju obok innych zawsze za bardzo wątłego i słabego uchodziłem.“ Wspomina też p. G. o Franciszku Grzymale, redaktorze Astrei, starym oryginale, o pp. Quinet, Michelet, Dumenil i innych przyjaciołach Mickiewicza z owej epoki.

Dalej idą wspomnienia przykrości rodzinnych z czasu urzędowania Mickiewicza w Bibliotece Arsenału i dużo szczegółów przeważnie domowych. Pomiędzy kolegami francuzami w Bibliotece miał Mickie-

wicz nieżyczliwych, którzy mu tego zawodu bynajmniej nie osładzali. Dorastające dzieci sam uczył łaciny, a uwagę córki zwracał na piękności w utworach Homera i Getego. Dalej idą szczegóły o podróży autorki do Włoch, o ostatniej chorobie i śmierci matki i o ostatniem pożegnaniu dzieci z Mickiewiczem. Dodana krótka wiadomość o zgonie wieszcza nie zawiera nic nowego.

Ostatecznie córka wielkiego wieszcza dała choć skromny, lecz ważny przyczynek do biografji Mickiewicza, na którą może kiedykolwiek zdobędzie się nasza literatura. Pobieżne te wspomnienia dają nam poznać Mickiewicza głównie jako człowieka, jako męża i ojca rodziny. Wiele tu wprawdzie rzeczy już zkądinąd znanych (głównie z wydanej przed dwoma laty Korespondencyi Mickiewicza), jest jednak i pewna cząstka nowego. Jedyny zarzut, któryby postawilibyśmy autorce—to zbyteczna krótkość tych wspomnień. Nie wątpimy, że w doskonałej pamięci pani G. przechowało się materyału, któryby wystarczył na książkę większą od niniejszej o 78 stroniczkach, a chociaż pojmujemy, że nie wszystkie okoliczności tak prywatne jako i rodzinne z życia wielkiego wieszcza dadzą się ogłosić publicznie, z drugiej jednak strony, najdrobniejsze nawet napozór szczegóły, jako droga puścizna narodowa, znalazłyby swoją wartość w oczach ogółu. Mamy nadzieję że pani Górecka jeszcze nie dała nam wszystkiego ze swych wspomnień i że jeszcze dowiemy się od niej z czasem i więcej. Nie idzie tu bynajmniej o artystyczne opracowanie przedmiotu—tę stronę pominęliśmy nawet zupełnie w ocenie niniejszej książeczki lecz o sam materyał. Książeczka ta kosztuje 50 kopiejek. *W*

POGADANKA.

Ruch dziennikarski i wydawniczy w Warszawie wzrasta ciągle, a chociaż słychać jeszcze tu i owdzie rutyniczne narzekania na obojętność i brak poparcia publiczności w tym względzie, fakta twierdzą przeciwnie i skoro się w nie wpatrzymy, musimy przyznać że postęp szybki jest cechą obecnej chwili.

Czasopisma istniejące rozwijają swoją działalność, obok nich powstają coraz nowe, mnożą się wydawnictwa i firmy księgarskie. Oczywiście więc pomimo ciężkich czasów, drożyzny Warszawskiej, i taniości zboża przygniatającej rolników, rozszerza się koło czytelników, zwiększają umysłowe potrzeby ogółu. Poważne nawet publikacye mają pokup nadspodziewany. Pocieszający ten fakt, miał właśnie miejsce z Encyklopedyą Rolniczą. Zaczęto ją drukować w 2000-cach egzemplarzy, sądząc zapewne, że cena 20 rs. chociaż bardzo umiarkowana względnie do wartości, bo nie pokrywająca kosztów, odstraszy wielu rolników od kupna pożytecznego dzieła, albo też okaże się dla nich nieprzystępną.

Tymczasem stało się przeciwnie, pierwsze poszyty są już prawie zupełnie wyczerpane, i ażeby nastarczyć żądaniom, od połowy dzieła powiększono o 500 liczbę egzemplarzy, a początkowe poszyty mają przedrukować. Zdaje się że i to jednak nie będzie dostatecznem. Wydawcy przeliczyli się widocznie względem opieszałości kupujących, i kto wie czy dwa razy powiększona liczba egzemplarzy, odpowiedziałaby istotnej potrzebie.

Mnożą się także pożyteczne dzieła i zbiorowe wydawnictwa autorów obecnych i autorów przeszłości. Zaczynamy zbierać skrzętnie nasze skarby, zaczynamy pojmować, że obecność na przeszłości wspierać się powinna. Obiecują nam pośmiertne dzieła Moniuszki. Ukazały się w handlu księgarskim pierwsze tomy dzieł Hofmanowej. Wydawnictwo wszystkich prac literackich, należało się od dawna jednej z najpierwszych polskich autorek, której w swoim czasie wpływ był ogromny, a rzeczywisty talent wspierał się na nieposzlakowanej zacności.

Warszawa na żywe słowo nauki, jak była łaskawą dotąd tak teraz okazuje się znów niełaskawą. Zapowiedziana druga z kolei prelekcya pana Zdzisława Korzybskiego *o Sycylji ze szczególnem uwzględnieniem Syrakuzy*, spełzła na niczem, z powodu nagłej choroby prelegenta, czy też braku słuchaczy, którzy zebrawszy się bardzo nielicznie, zamiast oczekiwanego prelegenta, ujrzeli kogoś w jego zastępstwie i usłyszeli smutną wiadomość, iż pan Korzybski zasłabłszy nagle, odczyt odkłada i pieniądze wraca.

Co prawda był to postępek okrutny, względem ludzi dobrej woli, którzy pomimo przeszkód jakie stawiało rozpłakane niebo i ulice Warszawy najeżone kupami lodu, płynące czarnemi strugami błota, przyszli do sali resursy obywatelskiej, i drżąc od zimna, czekali niecierpliwie opisów słońca i nieba Itaki, ażeby pokrzepić się nim w obecnej rozpaczliwej porze.

Zaiste ta garstka wiernych słuchaczów, zasługująca na lepszy los, powinna była obudzić krasomówczy zapał prelegenta. Stało się przeciwnie. Nie uwzględnił on ani wytrwałości z jaką wytrzymali burzę żywiołów, ani katarów i chrypek jakie nabyli w tej wycieczce, ani czasu który mogli byli użyć w sposób pożyteczniejszy. Nie raczył do nich mówić.

Niewiadomo jakiej właściwie przyczynie przypisać to pierwsze podobno w Warszawie niepowodzenie odczytu. Czy stało się to z powodu niepogody, czy że obecna karnawałowa pora, niszczy myśl poważnego zajęcia.

Ależ karnawał idzie tak opieszale, że prawie o nim nie słychać: kilka publicznych balów, rzadkie prywatne zabawy, oto wszystko co nam przynosi. Ludzie nie chcą, nie umieją, czy też nie mają za co się bawić. A potem posiadamy, teraz tylu przedwczesnych mędrców, co chociaż nie mają jeszcze zarostu na brodzie, żywią dla tak bezmyślnej zabawy jak taniec wysoką pogardę, i jeśli tańczą kiedy, to tylko przez poświęcenie, lub poczucie obowiązku względem ugaszczających gospodarzy.

Byłoby to jeszcze pół biedy, gdyby ta młodzież istotnie oddawała się poważniejszem zajęciom. Pan Korzybski rachował może na to, iż gardząc niewinną rozrywką, szukać ona będzie natomiast skwapliwie, zabawy godnej wysokich umysłów i... zawiódł się. Młodzi stoicy, okazali równą opieszałość względem prelekcyi, jak i względem tańca, a karnawał pomścił się srodze za nieposzanowanie praw swoich.

Bal jednak dany przez zgromadzenie drukarzy warszawskich, do którego przyłączyli się niektórzy wydawcy i literaci, powiódł się wybornie. Bawiono się ochoczo bez przymusu, tańce prawie się na chwilę nie przerywały; po wieczerzy ponowiły się z nowym zapałem, uciecha trwała do rana, i byłoby wszystko godne pochwały, ładnie i składnie, gdyby... nie puder, co niepotrzebnie kilka główek i buziaków odzierał z ich wdzięków naturalnych.

Ważna i nagląca potrzeba społeczna, zabezpieczenia na starość ludzi, pracujących na różnorodnych polach, coraz więcej i czynniej zajmuje myślicieli, mających odwagę inicyatywy. Niektóre stany zsolidaryzowały się przez stowarzyszenia: w tym duchu działa towarzystwo lekarskie, towarzystwo wsparcia artystów muzycznych, stowarzyszenie subjektów handlowych, towarzystwo farmaceutyczne. To ostatnie niedawno odbywało doroczne posiedzenie i zdawało sprawę z czynności swoich.

Czytając piękne rezultaty gorliwości kilku indywidualności pracujących dla dobra ogółu, pomyśleliśmy iż przy wzrastających trudnościach bytu i koniecznej potrzebie zabezpieczenia niepewnej przyszłości ludzi żyjących jedynie z zarobku chwili, każden stan stowarzyszyć się powinien w ten sposób, by uchronić wspólnemi siłami członków swoich od niedostatku. Z pomiędzy tych przedewszystkiem należałoby to uczynić dla ludzi, którzy na opędzenie swych potrzeb posiadają tylko talent, często nawet przygnębiony materyalną troską; dla ludzi więcej niż wszyscy inni zależnych od łaski ludzi i losu.

Naturalnem następstwem wzrostu piśmiennictwa był wzrost liczby ludzi żyjących z pióra. Stanowi to u nas nowy rodzaj proletaryatu którym starość, choroba lub wyczerpanie sił tak fizycznych jak umysłowych, grozi wprost głodową śmiercią.

Nie jest to przenośnia żadna. Od czasu do czasu rozchodzi się smutna wiadomość, że ten lub ów, którego nazwisko głośne nawet, przestało pojawiać się w szpaltach czasopism lub w wydawnictwach księgarskich, dogorywa w nędzy, albo też umarł zostawiając rodzinę bez sposobu do życia.

Wówczas sypią się szumne nekrologi, społeczeństwo obrusza się, daje jałmużny — często spóźnione, a często upakarzające. A jednak jałmużna to jedyne lekarstwo tam, gdzie kapitał nie istnieje, a zarobek jest niemożebny, niemniej przecież jest to ostateczność przeciw której dobrze uorganizowane społeczeństwo obwarować się powinno, instytucyami zapobiegającemi jej potrzebie. W jakiej formie zaś towarzystwo literackie mogłoby się uorganizować, nie tu miejsce roztrząsać. Podnosimy myśl niejednokrotnie już rzuconą, niech leci na wiatr lub kiełkuje i wzrasta, stosownie do potrzeby istotnej i praktyczności swojej.

Nim to jednak nastąpi, powiadają, iż mają się dziać a nawet dzieją już w Warszawie w sprawach codziennego życia rzeczy niesłychane, które mają z naszego arcy-drogiego miasta uczynić krainę mlekiem i miodem płynącą, a przynajmniej umożebnić połączenie wygody z oszczędnością dwóch rzeczy dotąd tak uparcie wyłączających się wzajem.

I tak obiecują nam od Ś-go Jana, podobno nawet od Wielkiejnocy, bajeczne zniżenie cen lokali, a na dowód pokazują wznoszące się we wszystkich dzielnicach miasta, ogromne gmachy mogące setki ludzi pomieścić, a które dotąd niewykończone czy nie najęte, patrzą na przechodniów czarnemi oknami i pustemi sklepami.

Jak się więc te domy zaludnią, część dzisiaj zajętych mieszkań stanie pustkami, tak przynajmniej rozumują optymiści (lokatorzy) ma się rozumieć: razem ze spadnięciem lokali pójdą w górę lokatorzy (w znaczeniu moralnem) a właściciele domów ażeby zatrzymać u siebie ich drogocenne osobistości, mogące grozić wyniesieniem się z domu jak zastępy Grachów cofnięciem na Awentyn, jeden przez drugiego zmniejszać będą komorne, przestawiać dymiące piece, odświeżać ściany i okna a nawet pokrywać ciekące dachy, słowem będą czynić to wszystko, o czem im się dzisiaj ani śniło.

Oprócz tego pokłady węgla kamiennego wynalezione w Kieleckim powiecie, mają (zawsze według zdania optymistów) wpłynąć na zniżenie ceny tego niezbędnego produktu, a właściciele składów, ażeby nie odstręczać konsumentów, nie każą im tygodnie całe czekać na paliwo, ale odsyłać je będą natychmiast i to w nienaruszonych skrzyniach.

Zanim jednak te wszystkie szczęśliwości spłyną na Warszawę, mamy świeżo otworzony sklep z ta-

niem mięsem, nie tyle wprawdzie jakby należało, ale cieszmy się tem co jest, i nadzieją tego co być może, a najwięcej faktem przełamania monopolu, któremu pod każdym względem podpada Warszawa. Stanowi to szereg smutnych bardzo zagadek ekonomicznych.

Dla czego naprzykład bułki, które tak gwałtownie kurczyły się niegdyś pod wpływem wzrostu ceny pszenicy, dziś pozostają nieczułe na upadek tychże cen i zachowują niezachwianie swoją prawdziwie mikroskopijną objętość? Dla czego i wszystkie inne artykuły codziennego użytku, idą w ślad za temi upartemi bułkami, z tą tylko różnicą, że w mierze i wadze nie odmieniając się, z narastaniem ceny zawierają wieczny związek niczem nieprzerwany.

Podobnych *dla czego?* moglibyśmy setki wyrzucić... i tych para na dziś wystarczy.

Pan Jeleński co tak wymowny artykuł pomieścił w Niwie: O germanizmie w naszym przemyśle, mógłby wyjaśnieniem tych pytań zająć się. Możeby znalazła się jaka rada przeciw tej dysharmonji pragnień i rzeczywistości.

Widocznie karnawał przybliża się do podwoi postu za którym wiosna tuż zaraz podąża, gdyż już gwarzą o teatrach ogródkowych, i otworzeniu trzeciego przez dyrekcyą teatrów rządowych. Myśl to bardzo szczęśliwa: byłoby może lepiej gdyby tem zajął się prywatny przedsiębierca, ale i tak jak ma być podobno, źle nie wypadnie dla sztuki dramatycznej. Powiadają także, że trupa francuzka obecnie dająca przedstawienia w gmachu Towarzystwa Dobroczynności ma stale osiedlić się w naszem mieście, a że wiedzie się jej nie najgorzej, dowód najlepszy w świeżem powiększeniu jej personażu nowym tenorem. Równie dobrze wiodłoby się i orkiestrze pod dyrekcyą p. Rożalskiego, dającej koncerta w Resursie obywatelskiej, gdyby... Otóż to sęk, jak tu wybrnąć z tego nieszczęśliwego gdyby!

Orkiestra, powiadają, że to wielki instrument, na którym gra dyrektor, małą poruszający pałeczką. Jeżeli instrument źle się sprawia i zwalnia tam gdzie potrzeba przyspieszyć, przyspiesza gdzie zwalniać należy, mąci tony i nie nadaje im potrzebnej dzielności, czystości, odpowiedniej dramatyczności, przez piana, forte, pianisima, kreszczenda i dekreszczenda, otóż jeżeli instrument tak niezdarnie przemawia do słuchacza, to nikt nie fuknie na smyczek, tylko na rękę co nim wiedzie. Jeżeli zatem prawda, że orkiestra jest instrumentem dyrektora...

Przy tych słowach trącono mnie w łokieć, a ja niecierpliwie zwróciwszy się do natręta, rzekłem z wymówką:

— Dajże pokój, przecież orkiestry wytworzonej z miejscowych sił, po większej części przez Instytut muzyczny nie obrzucam naganą.

Powiadają, że i Salamoński ma zjechać na letnie uciechy Warszawy, z nowemi przyborami żywych i nieżywych okazów i ze świeżym repertuarem skoczno-gimnastyczno-dramatycznych krotochwili. Dyrektorowie teatrzyków ogródkowych już pozawierali podobno umowy na całe lato z właścicielami różnych miejscowości ochrzczonemi po włosku, choć na ziemi nawet z Włochami nie sąsiadującej. Włoszczyzna była u nas kiedyś modą; tłumy nie Włochów spieszyły na przedstawienia Włoszki Ristori, i gwałtem wmawiały w siebie głośnem klaskaniem, tupaniem i wrzawą, że po włosku choć nie umieją, ale włoskie gesta, grę twarzy i modelacyą głosu wybornie rozumieją jakby z książki czytali. Odtąd moda wzmogła się, a jak dziś opanowała nawet meble, które niedługo będziemy zmuszeni zmieniać jak czesanie włosów, opięcie sukienki, bucików, lub co najwyżej rękawiczki. Troszkę to trąci marnotrawstwem... otóż nowa kwestya ekonomiczna! Z tem nieszczęśliwem gospodarstwem społecznem trudna sprawa, wyłazi wiecznie na wierzch jak drut z pończochy, mówiąc językiem szlachetnym, nie wiedzącym nawet, że szydła i worki znajdują się na świecie. Pragnąc więc kwestyą ekonomiczną rozwiązać, powiem krótko, że moda nie zasługuje wcale na naganę, jaką ją darzą krzykacze lubiący puszyć się błyskiem słów nieznanych im znaczeniem. Lud wiejski nie ulega modzie, czemże jest i czem byłyby miasta, całe kraje, gdyby w nich mieszkali tylko ludzie z potrzebami wiejskiej ludności?

Ulegajmy modzie, ale bez przesady, spełniajmy jej wymagania ale bez śmieszności, gańmy gdy bryka, ale nie lekceważmy, bo poczucie jej potrzeby choć mnoży wydatki, przymusza do pracy, do myśli, tworzy ogólny postęp i podnosi człowieka do jego godności.

Dawniej na pnie po leśnych wyrębach, nie zwracono nawet uwagi, dziś z ubytkiem wielu źródeł łatwego i spokojnego zarobkowania, zwrócono większą baczność na te zawały leśne i w Lubelskiem ma powstać nowa fabryka mazi do maszyn i powozów, jedynie z pniów próchniejących wyciskanej. Nowy ten przemysł cóż wywołała jeżeli nie moda naganiania do pracy i przemysłu domowego i wymagająca szaty na którą jakoś coraz trudniej o pieniądze!

Bielizna i pościel na łóżka.

W Nrze 50 Tyg. Mód z roku przeszłego pisaliśmy o bieliznie skromnej i wytwornej, przeszedłszy aż do penioarów, negliży i czepeczków: dziś w dopełnieniu powyższych szczegółów piszemy o bieliznie na pościel i o łóżkach.

Z formy łóżek najwięcej rozpowszechnione są na krótkich nóżkach, 102—110 cent. dłu. a 200 szer. Oprócz pościeli niezbędnej do zasłania, bardzo wchodzą w użycie małe lekkie pół pierzynki zwane „plumeau,“ mięko wypchane puchem i powleczone materyałem odpowiednim do kołder.

Co do formy, wielkości a nawet liczby poduszek, to zależy od przyjętego zwyczaju: u nas zwykle używa się dwóch trochę podłużnych lub kwadratowych i maleńkiej poduszeczki zwanej jasiem. We Francyi kładą jedną poduszkę więcej podłużną a pod spód dodają wałek okrągły; w Niemczech pod jedną podłużną wsuwa się druga klinista, jak na ryc. 24 w dodatku. Forma jasia powinna być odpowiednia do poduszki.

Kołdry atłasowe lub wełniane pikują się w różne desenie, nowość stanowi wielki monogram wypikowauy na środku.

Prześcieradła do przykrycia materacy obrębiają się najwięcej na 1 cent. szerokości i znaczą ponsową bawełną gotyckiemi lub zwyczajnemi literami, 2—3 cent. długiemi. Prześcieradła pod kołdry powinny być zupełnie do ich wielkości zastosowane; urządzają się do wyłożenia tylko na górny brzeg kołdry lub ze wszystkich czterech stron. W pierwszym razie wykład liczy 25—35 cent. szerokości i ozdabia wszywkami lub wodami i zakładkami, albo tylko na środku pięknym haftowanym monogramem 20—30 cent. długości; takiż sam monogram tylko 10—20 cent. długi powtarza się na środku poprzecznej strony poszewki. Prześcieradła wywijane z czterech stron ozdabiają się staranniej i zakończają oprócz wstawek i zakładek drobniutkiem plisowaniem wysuniętem z pod obrębu z dziurkami; wykład taki liczy 30—50 cent. szerokości.

Poszewki zdobią różnie: na wierzchu z czterech stron, na około przy zapięciu lub z trzech stron: odpowiednio do tego zmienia się sposób zapięcia i miejsce wyznaczenia monogramu, który wypada na środku, z boku poduszki lub u góry po nad głową. Kilka różnych wzorów załączamy w dodatku z drzeworytami na ryc. 11, 14 i 20. Do zapinania poszewek i prześcieradeł modne są obecnie podłużne guziki podwójne pokryte atłasem koloru kołdry i powleczone siatką szmuklerską, przedstawiają się one bardzo ozdobnie; można także w miejsce guzików przy poszewkach używać wstążek do wiązania.

Do dopełnienia wiadomości o pościeli i bieliźnie podajemy krótki przegląd składu gotowej pościeli, bielizny i łóżek p. Leopolda Knolla przy ulicy Czystej N. 4 (638) załączając przy każdym przedmiocie ceny. W składzie tym przyjmują wszelkie obstalunki do wypraw dotyczące pościeli i bielizny na nią.

Widzieliśmy gotowe garnitury t. j. prześcieradło pod kołdrę, poszewka na poduszkę i na jasia, zdobne wstawkami, saską koronką, wodami, zakładkami, plisowaniem i t. p. od 18—45 rs. za garnitur. Gotowe kapy na poduszkę i jasia 6 rs. Kołdry wełniane tyftykowe po 7 rs. 50 kop., kaszmirowe od 10—15 rs., atłasowe od 25 rs. i wyżej. Przygotowują się także lekkie kapy na łóżka z przyozdobieniami odpowiedniemi do garnituru.

Cena za funt pierzy 1 rs. do 1 rs. 35 kop.—puch najlepszy po 2 rs. 50 kop. Materace gotowe włosiane po 22 do 25 rs. z trawy morskiej po 6 rs. a walthaarowe po 9 rs. do łóżka.

Pomiędzy łóżkami żelaznemi których cena od 7 do 27 rs. wynosi, zasługują na uwagę bardzo praktyczne w niezbyt obszernych mieszkaniach, łóżka rozsuwane wzdłuż tworzące dwa stojące jedno za drugiem, na dzień dające się zsuwać a pościel można zebrać do jednego. Cena takiego łóżka 40 rs. wynosi.

Łóżeczka dziecinne są w cenie od $6\frac{1}{2}$ do 21 rs.; te ostatnie są z bardzo praktycznem sznurowaniem z boków, zapobiegającem od wypadnięcia. Widzieliśmy także bardzo ozdobne kołyski z pikowaniem atłasowem, jedwabnem lub tybetowem, z całym potrzebnym przyborem i osłoną od 45 do 100 rs.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 10 (22) Февраля 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 8.

(Dokończenie).

N. 17. Próbka roboty na drutach i szydełkowej do bucika ryc. 26 w N-rze 7.

N. 18 Próbka tła do płaszczyka ryc. 1 w dzisiejszymi ryc. 43 w 7 N-rze.

N. 19. Kapelusz okrągły.

Pokryty czarnym aksamitem ma rondko trochę odwinięte nad czołem; gustowne i lekkie przybranie składa się z błękitnego pióra otaczającego na około główkę, przypiętego kokardą repsową na której opiera się ptaszek z mienionemi skrzydełkami. Djademowe podpięcie rondka, przytwierdzone na pasku sztywnego tiulu składa się z kokardy aksamitej, krótkiego piórka i matowo różowej róży.

N. 20. Kapelusz do wiązania.

Ma formę środkującą między kapelusikiem dla młodej osoby a poważnym dla starszych osób. Płaskie rondko 6 cent. szerokie, a 51 długie, przystaje z boków do głowy, a nad czołem podniesione jest do dyjademowego podpięcia; niezbyt odstająca główka pokryta jest fałdowanym aksamitnym skosem 12 cent. szerokim a 68 długim, który z boków spuszczony jest w dwa końce oszyte koronką.

Na aksamit narzucone jest lekkie bufowanie z czarnego tiulu oszytego koronką; środkiem bufy przypięta gałązka jesiennych liści i dwie karmazynowe róże. Do wiązania pod brodą dodają się końce z wstążki lub tiulowe.

N. 21—23. Koszyczek do robót ozdobiony lambrekinami z frendzli robotą wiązaną.

Podstawa koszyczka odrobiona jest z lakierowanej trzciny; ściany boczne i dno dodane z tektury powleczonej z obu stron materją kolorową, przyczepione są niewidocznie do pręcików trzciny.

Z wewnętrznej strony ścianek dodane są mniejsze i większe kieszonki na rozmaite przybory do robót. Górny brzeg ogarnirowany jest riuszą z materji; główne przyozdobienie stanowią lambrekiny z frendzli robotą wiązaną. Szczegółowy opis roboty frendzli wiązanej podaliśmy w ostatnich N-rach z 1874 r. do nich więc odsyłamy czytelniczki dla których dziś załączone wzory przedstawiać będą nowość jeszcze nieznaną.

N. 24—25. Wstawki odpowiednie do kołnierzyka ryc. 6 w N-rze 7.

N. 26—27. Woalik spajany z torsadki na widełkach.

Rycina 26 załącza model woalika odrobionego z cieniutkiej czarnej lub białej włóczki, bardzo praktycznego do zasłonięcia twarzy w czasie silnego zimna. Jest on spajany z pasków, tosadki na widełkach, zakończony takimże szlaczkiem i ząbkami, odrobionemi szydełkiem. Rycina 27 podaje w naturalnej wielkości część tła i ząbki; podług tej próbki łatwo odrobić woalik bez szczegółowego opisu roboty, dodamy tylko że potrzeba wykroić formę z papieru i przyfastrygowywać na niej paski torsadki, które następnie łączy nitka przerzucana przez pikoty. Dla zamocowania górnego brzega woalika, trzeba w pasku torsadki stanowiącym zakończenie przeprowadzić kilka razy nitkę włóczki a jeszcze lepiej jedwabiu.

N. 28. Tło na pantofle, poduszki i t. p. Robota krzyżowa.

Jak to widać z ryc. 28 w deseniu mieszają się krzyżyki robione na dwóch nitkach z krzyżykami długiemi, robionemi na czterech nitkach. Długie nitki odznaczające kwadraciki, dane są żółtym jedwabiem.

N. 29—30. Suknia z vêtement.

Eleganckie ubranie jakie ryc. 29 i 30 przedstawiają z przodu i z tyłu odszyte jest z materjału gładkiego i broszowanego wełnianego lub jedwabnego. Na sukni dane trzy zachodzące na siebie rzędy plisowania i szeroka, płaska bufa z nagłówkami po 6 cent. Vêtement broszowane do którego można dodać gładkie rękawy ma przody ukrajane formą princesse t. j. w jednym ciągu ze stanikiem a plecy i boczki odcinane, zakończone gładką baskiną. Pod baskinę dodany jest bardzo długi prosty bryt tuniki, w około brzegów zakończony wypustką i ozdobiony rzędami stębnówki; po założeniu w odpowiednich miejscach fałdów boki przyczepiają się do ufałdowanych przodów, a środkowa długość tylnego brytu skraca się przez podpięcie. Przybranie rękawów, baskiny i kieszonki dopełnia się podług ryc. 29 i 30.

N. 31. Kapelusz okrągły i szeroki, wykładany kołnierz.

Djademowe podpięcie z liści aksamitnych i róży przyczepione na pasku aksamitnym daje się zastosować prawie do każdej modnej obecnie formy kapelusza. Nowość stanowi szeroki wykładany kołnierz przypominający te jakie widzimy na obrazach Rubensa i Van Dyka; odszyty jest z prostego kawałka muślinu i zakończony bogatą koronką ułożoną w fałdy. Pod szyją zapina go kokarda z szerokiej wstążki.

N. 32. Paletot przybrany matelassem i kapelusz tyrolski dla młodej panienki.



N. 1. Ubranie strojne wizytowe z bluzą grecką. N. 2. Ubranie balowe.

Lekko podwatowany paletot przybrany jest metelassem i aksamitem, maleńka mufka objęta futrem ma także środek z metelassu. Tyrolski kapelusz przybrany wstążką kanwową, aksamitką i piórkiem; na szyi zawiązana krawatka odpowiednia do wstążki.

N. 33. Paletot i płaski kapelusik objęty futrem, dla dziewczynki.

Paletocik z ciemnego welour ma brzegi, kieszonki, rękawy i wykrój szyi objęte futrem, które spuszczone jest wzdłuż przodów. Płaski filcowy kapelusik objęty futrem przybrany jest repsową wstążką, skrzydełkiem i szmuklerską rozetą z kwaścikami.

N. 34. Stanik kirasowy z podłużnym wykrojem, zapinany z tyłu. Krój podług ryc. 30 w N-rze 6.

Dopasowany podług wskazanego powyżej kroju stanik, może być zapięty lub sznurowany z tyłu. Podłużny wykrój dopełniony jest suto nagarnirowaną falbanką muślinową; krótkie zaledwie do łokci sięgające rękawki zakończone wolantami, są również podgarnirowane muślinem. Takie rękawy odpowiednie są tylko dla osób mających zgrabną figurę i ładny tok ręki.

N. 35—36. Dwa staniki do sukien wieczorowych. Krój podług ryc. 31—32 w N-rze 5.

N. 35. Stanik z baskiną ściętą w ząb i odpowiednim wykrojem.

Odszyty z kolorowej materji ma brzegi zakończone poczwórną pliską; bardzo głęboki wykroj dopełniony jest przybraniem z tiulu koronki, kokard i kwiatów. Tunikę zdobią kieszonki ułożone z materji i zakończone kokardą z wstążki i koronki, przepiętą złoconą klamerką. We włosach róże.

N. 36. Stanik z prosto ściętą baskiną i kwadratowym wykrojem.

Suto nadmarszczona koronka i złoty lub srebrny sutasz naszyty na jedwabnej plecionce zakończonej delikatną jedwabną frendzlą stanowi przybranie stanika dopełnionego przy wykroju kwadratowym modestką z illuzji lub z crêpe lisse. Na szyi i we włosach perły.

Opis do N. 9.

N. 1. Ubranie strojne wizytowe z bluzą grecką. Krój bluzy podany był w N-rze 31—32 z 1875 r.

Na suknię jedwabną z trenem włożona bluza grecka, może być odszyta z grenadyny, kaszmiru lub aksamitu, Model jaki widzimy na ryc. 1 jest z grenadyny przybranej niezmiernie modną pletnią jedwabną naszytą naprzemian z plecionką złotą, srebrną lub stalową. Szarfa z materji koloru sukni zawieszona na pasku filigranowej roboty; na głowie takiż djadem.

N. 2. Ubranie balowe. Krój stanika patrz Nr. 5 ryc. 31 lub Nr 6. ryc. 30.

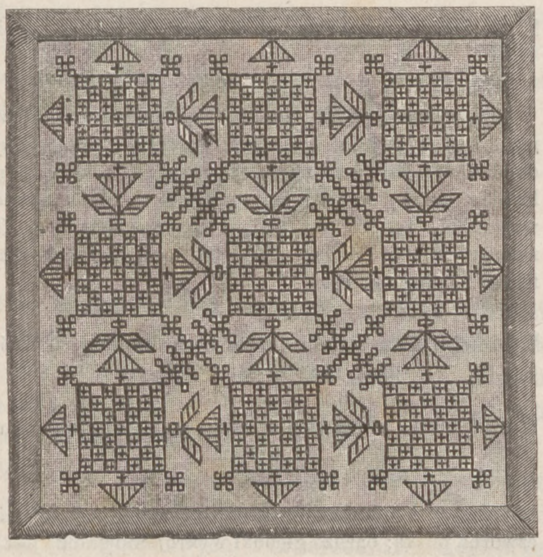
Do lekkiej sukni z tarlatanu, gazy, krepy, tiulu i t p. dobiera się na stanik materyję jedwabną tego samego koloru. Spódnica zdobna bufami i wolantami przyszytemi plisami z materji lub atłasu. Tunika składa się z bryta materyału, kto y drapuje się na osobie i przypina kwiatami lub kokardami, dodamy tylko że upięcie takiej fantazyjnej tuniki wymaga bardzo zręcznej ręki.

N. 3—6. Dwie serwety Ścieg krzyżowy i w kwadraciki. Patrz także Fig 26—28 na arkuszu z krojami.

W N-rze 49 z roku przeszłego p dalśmy wzor serwety na

stół odrobionej w pasy, która wielu osobom podobała się niezmiernie, dziś więc załączamy nowe wzory wyszycia ściegiem krzyżowym i w kwadraciki na ryc. 3 i 4 a na ryc. 5 podajemy serwetę zszytą z pasów takiej roboty i krzyżowych; na krzyżową robotę można użyć deseniu z Nr 49 ryc. 10—11 albo też nowego wzoru podanego dziś na ryc. 6 i na Fig. 26—28 na arkuszu z krojami.

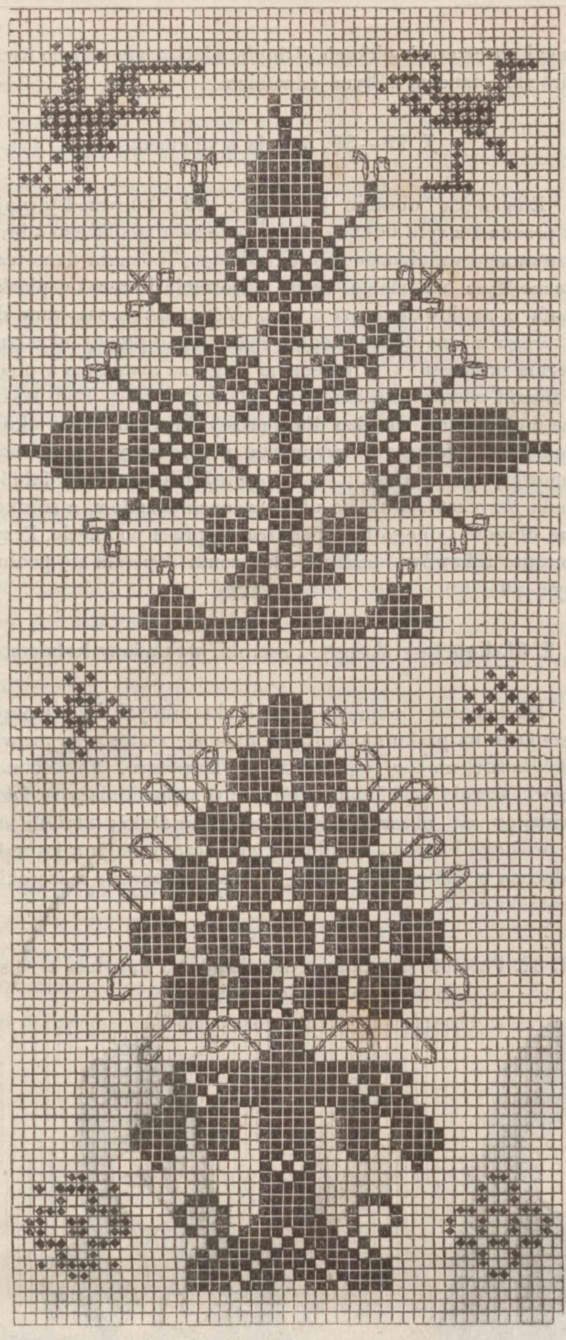
Jeżeli serweta wykonaną będzie na mocnem płótnie z wyciągniętemi nitkami dla łatwiejszego wyszycia kwadracików, to pod tło które zrobi się trochę ażurowem daje się kolorową podszewkę i w takim razie haft nie potrzebuje być jednakowy na dwie strony. Na materyałach jedwabnych,



N. 3. Serweta. Haft na płótnie z wyciąganemi nitkami. Patrz ryc. 4.

wełnianych lub kanwie Jawa ścieg w kwadraciki musi być odrobiony na obie strony jednakowo najlepiej dwoma nitkami; wykonanie takiego ściegu podamy w N-rze 10 na ryc. 15. Jedna nitka tworzy tam ściegi prostopadłe na zwierzchniej stronie a jednocześnie ściegi poprzeczne od spodu (przechodzące od jednego do drugiego prostopadłego ściegu). Drugą nitką zapełnia się odstępy między ściegami; dla łatwiejszego zrozumienia na ryc. 15 nitki odznaczone są jaśniej i ciemniej. Nitka N. 1 wskazuje kropkami ściegi wypadające na spodnią stronę i kierunek ściegów; nitka 2 tworzy na wierzchu ściegi poziome odpowiednie do ściegów spodnich pionowych. Nici 3 i 4 wskazują robotę w dalszym ciągu a N. 5 oznacza nitkę którą po wyszyciu kwadracików obwodzi się linie brzeżne.

Wyprobowawszy robotę pojedynczych kwadracików i nabrawszy trochę wprawy łatwo będzie z wyszywaniem stosować się do deseniu; dla nieodrywania nitki wypadnie czasem który ścieg zrobić podwójnie lub przemienić z sobą nitki, zawsze jednak trzeba zwracać uwagę na obie



N. 6. Deseń na pas do serwety ryc. 5.

strony haftu. Supłów nigdy się nie robi lecz przy zaczęciu nowej nitki trzeba drobniutkiemi ściegami przeprowadzić ją pod spodem ściegu. Opisawszy wykonanie roboty przechodzimy do załączonych modeli: ryc. 3 przedstawia serwetę wyszytą w deseń z kwadratów bawełną ponsową na tle z białego płótna i ostębnowaną na około wypustką z ponsowej weby 2—3 cent. szeroką. Można także małe pojedyncze kwadraty spajać naprzemian z siatkowemi lub t. p. Rycina 5 załącza serwetę zszytą z pasów białego płótna z wyciąganemi w kratkę nitkami, wyszytych w kwadraciki i z pasów szafirowego płótna 15 cent. szerokich wyszytych krzyżykami podług ryc. 6.



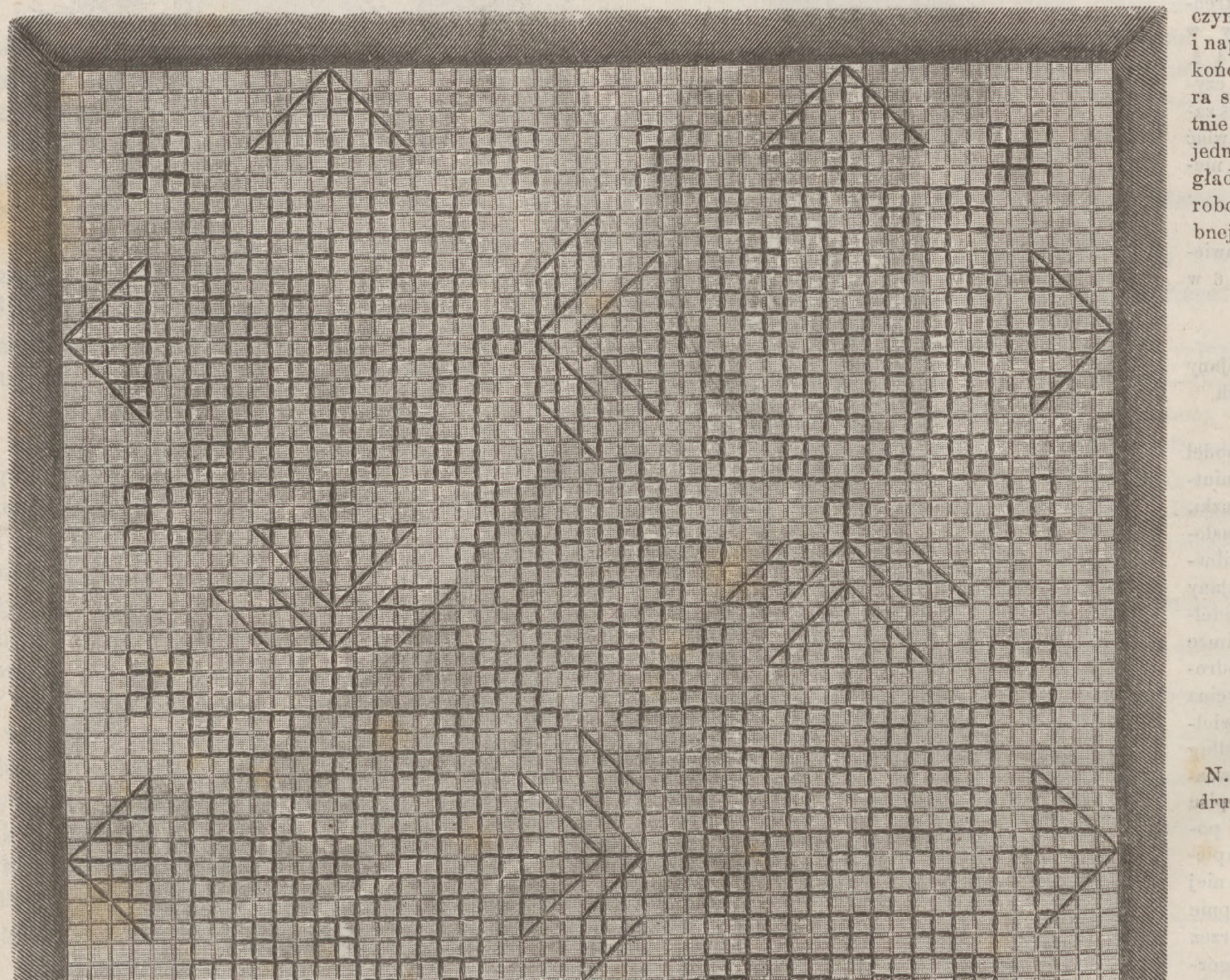
N. 5. Serweta w pasy. Haft na płótnie. Patrz ryc. 6 i fig. 26—28 w dodatku.

N. 7—8. Szalik z pasów jedwabnych i wstawki.

Dwa pasy materji lub krepy jedwabnej po 5 cent. szerokości a 95 długości i pas wstawki 4 cent. szerokiej składają krawatkę załączoną na ryc. 7. Rycina 8 wskazuje sposób łączenia pasków ściegiem dzierganem nitką srebrną lub złotą.

N. 9—10. Szalik robiony na drutach.

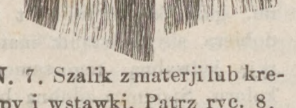
Nowość roboty zależy na tem że rzędy oczek nie robią się prosto lecz zaczynają od rogu i robią skośnie, jak to objaśnia ryc. 10. Szalik zaczyna się od 3o: i robi tam i napowrót prawie gładko; na końcu każdego rzędu przybiera się 1 oczko w przedostatnie oczko druta (następnie jedno z tych o. przerabia się gładko, drugie kręto) dopóki robota nie dojdzie do potrzebnej szerokości t. j. do 88 o.



N. 4. Kwadracik do serwety ryc. 3. Haft na płótnie z wyciąganemi nitkami.



N. 7. Szalik z materji lub krepy i wstawki. Patrz ryc. 8.



N. 8. Łączenie pasów szalika ryc. 7.

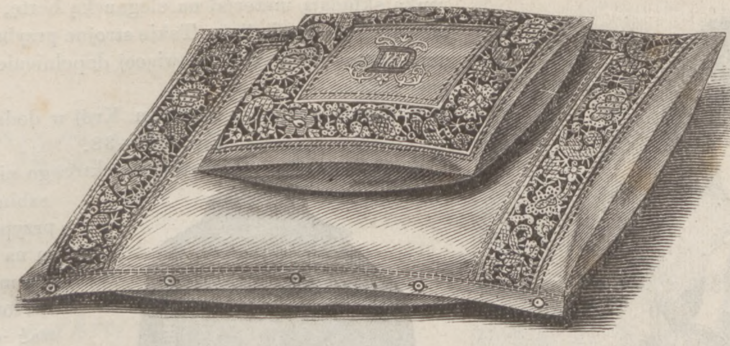


N. 9. Szalik. Robota na drutach. Patrz ryc. 10.

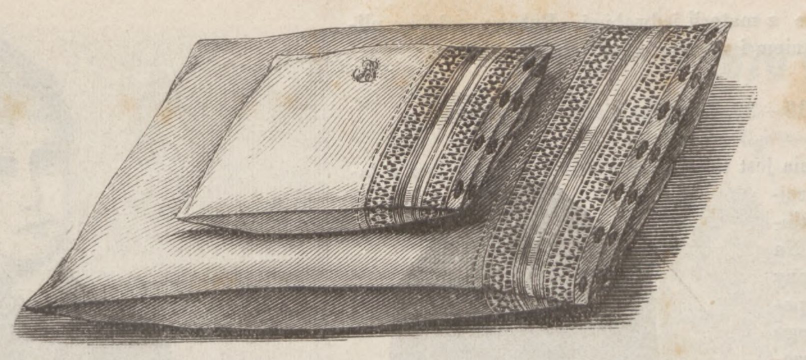


N. 10. Zaczęcie roboty szalika ryc. 9.

W dalszych rzędach pierwsze o. zdejmuje się bez przerobienia zaś w rzędach od ręki prawej do lewej przybiera się przedostatnie o.; w rzędach od lewej do prawej przedostatnie o. potrzeba zgubić, aby robota szła równo. Tak robi się aż do długości 85 cent. a następnie drugi koniec wygubia się stopniowo aż do 3 o. jak przy zaczęciu. Szalik zszywa się we dwoje i zakończa kwastami.



N. 11. Poszewki zdobne weneckim haftem. Patrz. ryc. 12—13.

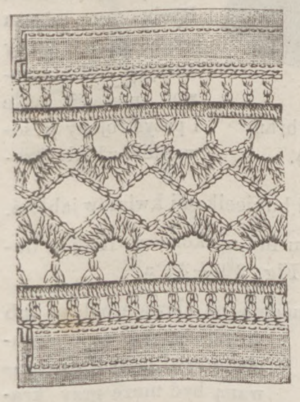


N. 14. Poszewki ze wstawką i zakładeczkami zapięte na podwójne podłużne guziki. Patrz. ryc. 19.

N. 11—26. Bielizna i pościel.

N. 11—13. Poszewka zapięta za pomocą listewki z guzikami.

Rycina 11 przedstawia poszewkę zapinaną na guziki przyszyte do oddzielnej listewki. Ażeby brzegi przy zapięciu dobrze zachodziły na siebie potrzeba zwierzchnią połowę poszewki krajać o 3 cent. dłużej niż spodnią.



N. 15. Wszywka. Robota szydełkowa z mignardise.

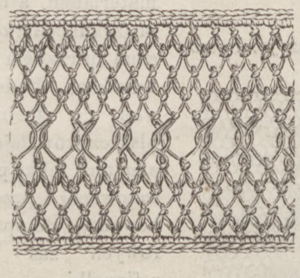
Wielkość poszewki wynosi 80 cent. wzdłuż, a 70 wszerz; mniejsza poduszeczka zwana jasiem liczy 48 cent. długości a 40 szerokości. Przyozdobienie dużej poszewki stanowi wszywka z weneckiego haftu 7 cent. szeroka dana z trzech stron; można odrobić ją na materyale poszewki lub wstębnować oddzielną. Mniejsza poszeweczka oszyta z czterech stron wszywką zdobna jest monogramem wyhaftowanym na środku; zapięcie urządzone jest od spodu jak to ryc. 13 objaśnia, również za pomocą listewki z guzikami którą wskazuje rycina 12.



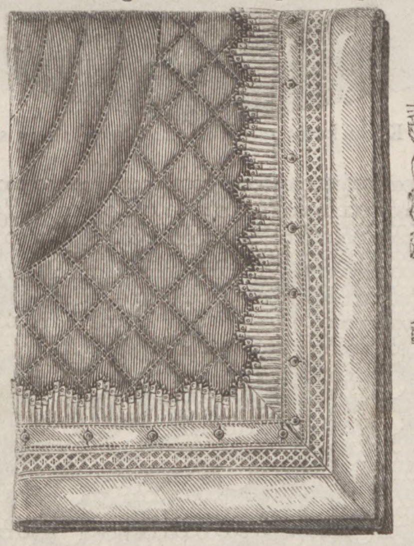
N. 20. Poszewki zdobne wstawką i związywane wstążką.



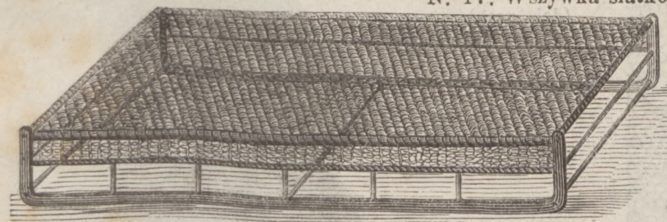
N. 12. Listewka z guzikami do zapinania poszewek.



N. 17. Wszywka siatkowa.



N. 21. Kołdra z przypinanem prześcieradłem.



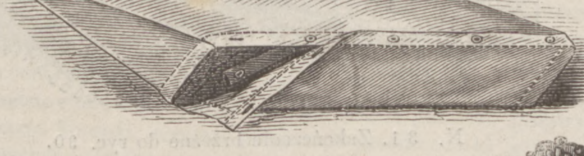
N. 22. Materac druciany.

N. 14 i 19. Poszewki zapięte długiemi podwójnemi guzikami.

Poduszki mają formę podłużną, spodnia liczy 84 i 60 cent. długi a 38, szeroki. Przybranie stanowią wszywki rozdzielone pasem drobniutkich zakładek, idą nie z czterech stron lecz tylko na około przy zapięciu poszewek. Podwójne guziczki których model wskazuje ryc. 19 są powleczone materyą koloru spodnich powłoczek i siatką szmuklerską.



N. 13. Poszewka zapięta od spodu. Patrz ryc. 11.



N. 24. Kliniasta poduszka z poszewką. Krój i opis w dodatku Nr VI, Fig. 25-a—25-c.



N. 25. Poduszka kliniasta pod nogi.



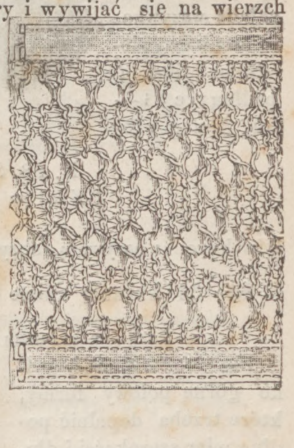
N. 15—18. Próbki wstawek do bielizny.

N. 20. Poszewki związywane kokardami.

Prawie kwadratowe poszewki (75 i 72 cent., 39 i 36) zakończone z brzegu wszywką 8—10 cent. szeroką, związują się na kolorową wstążkę. Wszywka może być koronkowa, szydełkowa lub siatkowa odrobiona podług próbek jakich wiele podajemy w Tygodniku. Na ryc. 20 widać także miejsce wyznaczenia cyfry, która na poszewkach danych poprzednio (ryc. 11 i 14) odrobiona była na środku lub tak iż wypadała po nad głową.

N. 21. Kołdra pikowana.

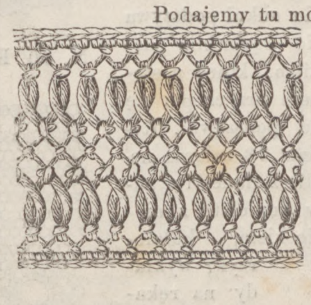
Kaszmirowa lub jedwabna kołdra pikuje się w maszynie ściegiem stębnowanym w bogatszy lub łatwiejszy deseń: do najświeższej mody należy wystębnowanie lub wyhaftowanie na środku monogramu. Prześcieradło przypinane na guziki powinno być zupełnie dopasowane do kołdry i wywijać się na wierzch mniej lub więcej ozdobnym wykładem. Model jaki podaje ryc. 21 wywinięty jest na szerokość 24—26 cent.; brzeg płócienny wysunięty na 12—16 cent., do niego przyszyta wszywka 4—6 cent. szeroka, dalej obrąb 4 cent. szeroki z dziurkami od powiedniemi do guzików a zakończenie stanowi drobniutkie batystowe plisowanie wycięte w zęby i oszyte koroneczką. Wszystkie szwy przykryte są wąziutkiemi pliseczkami przystębnowanemi.



N. 16. Wszywka robiona na drutach.

N. 22—26. Materace i łóżko posłane.

Podajemy tu model wspaniale rzeźbionego łóżka, zasłanego pościelą, szczegółowy opis o bieliźnie, łóżkach i pościeli załączamy w dzisiejszym N-rze Tygodnika Mód; wzory poszewek przedstawiają ryciny opisane powyżej.



N. 18. Wszywka siatkowa.

N. 27—28. Suknia z kaftanikiem. Krój w dodatku z formami Nr II, Figura 5—10.

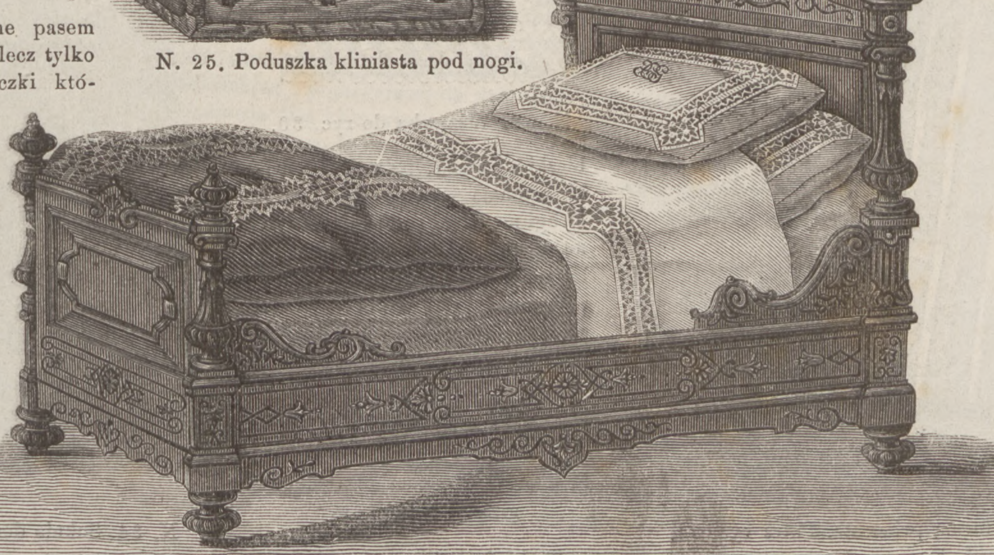
Kaftaniczek zupełnie wzięty do figury z tyłu jak to widać na ryc. 28, z przodu puszczony luźno i rozchodzący się szeroko ma dodane od spodu przody wcięte do figury i tworzące dopełniającą go kamizelkę. Fig. 10 podaje część kamizelkową; fig. 5—6 krój przodów kaftanika dopełnionego szalowym kołnierzem, zapiętym kokardą z długiemi końcami. Części przodów i kamizelki wykończają się oddzielnie a następnie podług odpowiednich liter przyszywają do boczków; baskina kamizelki przy szwie bocznym puszczona jest wolno do dwukropka. Skromne przybranie wskazują ryciny 27—28.



N. 23. Materac włosienny.

N. 29. Stanik przybrany plisowaniem. Krój znajdą czytelniczki na arkuszu do N. 5 i 6.

Dopasowany podług powyżej wskazanego kroju stanik, zapięty wzdłuż przodu na guziki, przybrany jest skośną plisą z wypustkami, którą do sukni wełnianej można dać z materji i drobniutkiem pliso-



N. 26. Łóżko posłane.

waniem także z materji jedwabnej. Rękawy zdobne plisami, plisowaniem i węzłami z jedwabnego sznuru.

N. 30—32. Zarzutka tiulowa na głowę.

Odpowiednia jest także do zarzucenia na szyję lecz w takim razie strojniejsza jest z tiulu białego. Na model załączony na ryc. 30 potrzeba czarnego tiulu deseniowego w najlepszym gatunku, kawałek 175 cent. długi a 70 szeroki, skośnie ściętyw końcach stanowi tło zarzutki; przyozdobienie składa wszywka i koronka wywiedzione filozelą podług ryc. 31—32. Brzeg ząbków koronki oszywają fabryczne pikoty.



N. 28. Stanik kaftanikowy do ryc. 27. Krój w dodatku N. II Fig. 5—10.



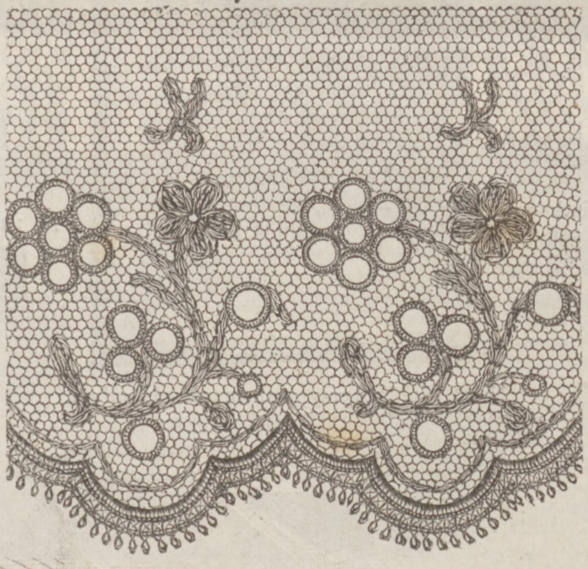
N. 27. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 28.

N. 33—34. Ubranie ranne lub domowe formą princesse.

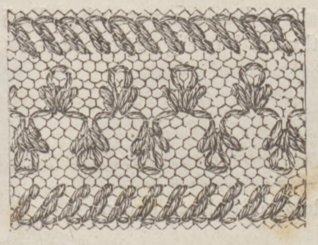
Krój na arkuszu Nr I, Fig. 1—4 a. Fig. 1—3 podają tylko górne połowy formy, które trzeba dopełnić podług miar szerokości i długości wypisanych na Fig.; do łatwiejszego zrozumienia pomaga zmniejszony format Fig. 1-a—4-a. Górny brzeg fałdów po zszyciu sukni podszywa się wąziutkim paskiem, który następnie przyczepia się do podszewki. Rycina 33 załącza negliż z flanelki w pasy popielate z niebieskiem; kołnierzyk, wykłady na rękawach odwinięte i przytwierdzone guzikami, kieszonki i kokardy są z niebieskiej materji; jedwabne guziki zapinają suknię z przodu. Drugi negliż jaki widzimy na ryc. 34 wykończony jest z czarnego kaszmiru na lekkiej flanelowej podszewce; dół sukni zakończa szeroka plisa zdobna podwójną ponsową wypustką.



N. 30. Koronkowa zarzutka na głowę lub na szyję. Patrz ryc. 31—32.



N. 31. Zakończenie brzeżne do ryc. 30.



N. 32. Wszywka do ryc. 30.



N. 33. Suknia domowa lub negliż formą princesse. Patrz ryc. 34. Krój w dodatku Nr I, Fig. 1—4 a.

Opis do N. 10.

N. 1. Berta chusteczkowa zdobna girlandką fijołków.

Tiul lub muślin, wstawki i koronka składają materjał na elegancką bertę, przepiętą fantazyjnie gałązką fijołków. Takie strojne przybranie odpowiednie tylko do berty stanowiącej dopełnienie jasnej jedwabnej sukni.

N. 2. Stanik wycięty z bawetem. Krój w dodatku Nr VIII, Fig. 35—38.

Krając stanik z bawetem do którego niezbędne są fiszbiny, potrzeba przypuścić materjału na zaszycia, jeżli zaś materjał jest wąski to trzeba podszywać oddzielnie listewki. Króciutkie rękawki dopasowane podług fig. 38 przykryte są bufą tiulową, plisowanemi falbaneczkami lub koronką odpowiednio do przybrania wykroju stanika. Rycina 2 załącza wzór stanika który odszyty był z różowej materji faille i przystrojony plisowaniem z białej krepy, przepinanej pojedynczemi bukiecikami kwiatów jabłoni.



N. 29. Stanik z baskiną przybrany pliską i falbaneczką.

N. 3—4. Płaszczyk do teatru lub na koncert. Krój w dodatku Nr VII, Fig. 30—34 a.

Forma płaszczyka do zarzucenia na ubranie balowe lub do teatru, który przedstawiają ryc. 3—4, zastosowaną być może przy krajaniu płaszczyka do spacerowego ubrania. W takim razie biały atlas, matelassé lub kaszmir zastępuje się czarnym aksamitem lub innym czarnym materjałem, a biały puszek łabędzi oszyciem futrzanem lub frendzlą. Podszewka do strojnych płaszczyków daje się z materji lekko podwatowanej i przepikowanej, do spacerowych zaś z flanelki.

(dok. nast.)



N. 34. Suknia domowa lub negliż formą princesse. Patrz ryc. 33.